MAGAZYN

Wybuchy wulkanów, pożary, wypadki. Kiedy urlop zamienia się w koszmar
– Str. 12-13

Liliana Sonik: Skoro nie potrafimy zlikwidować ocieplenia klimatu, warto się dostosować
– Str. 10

Telemagazyn
z programem tv i zapowiedzią najciekawszych filmów, seriali i programów

Nr ISSN 0137-9089
Nr indeksu 350052
9 770137 908050 34

www.dziennikpolski24.pl

Nr 193 (24 970) | Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Piątek, 21.08.2026

81 *lat*

DZIENNIK POLSKI

Relaks

Krzyżówki do kawy. Nowości w programie TV

Kraków

Z przystanku pod koła roweru. Ta ścieżka to nieporozumienie

Ścieżka biegnie między wiatą przystanku a torowiskiem. Mieszkańcy proszą miasto o interwencję i poprawę bezpieczeństwa.
– Str. 5

Pasje

Jest rekord. Marcel Broj przebiegł w godzinę Orlą Perć

Mówi: Rok temu była pierwsza próba. Zabrakło dwóch minut. Kolejne podejście było w czerwcu. No i teraz za trzecim razem się udało.
– Str. 22-23

Z naszych stron

Filip Gurłacz: Cenię role, które dają ludziom światło

Rola w filmie „Odzyskany" jest jedną z tych, które utwierdzają mnie w przekonaniu, że aktorstwo buduje mnie jako człowieka w dobrym kierunku.

– Str. 24-25

FOT. KNOCK KNOCK ACTORS

REKLAMA 0011548513

eprasa.pl 9381f2cf8a

POLECAMY

JUTRO: Na ślub – gotówka czy podarunek? PONIEDZIAŁEK: Sportowe wydarzenia weekendu

21.08.2026
Piątek

Dziś imieniny: Franciszek, Joanna, Wiktoria
Telefon alarmowy: 112

DZIENNIK POLSKI24

Redaktor naczelny Piotr Rąpalski
Z-ca redaktora naczelnego Arkadiusz Maciejowski
Wydawcy Włodzimierz Zapart, Dariusz Penar, Katarzyna Kachel, Paulina Szymczewska, Agnieszka Aulich, Magda Domańska-Smoleń

www.dziennikpolski24.pl

Polska Press
Makroregion Śląsk, Kraków
Redakcja ul. Zabłocie 43A, 30-701 Kraków
tel. 12 688 85 01
redakcja@gk.pl, sekretariat@gk.pl
Prezes Makroregionu Dariusz Kołacz
Dyrektor sprzedaży Wojciech Cekiera
Biuro reklamy oddziału
tel. 12 688 84 44
Druk
Polska Press Oddział Poligrafia, 41-203 Sosnowiec Milowice, ul. Baczyńskiego 25a

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.dziennikpolski.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Komentarz

Leszek Waligóra:
Dobra, szatańska liczba

Publicysta

Pierwsze półrocze tego roku upłynęło pod znakiem szatańskiej liczby 666. Tyle osób zginęło na polskich drogach w tym czasie. I jest to wiadomość... optymistyczna. Bo to był historycznie najmniejszy odsetek wypadków i ofiar śmiertelnych od czasu, gdy w Polsce zaczęto to mierzyć. Od roku 1997 do dziś, liczba wypadków spadła o ponad 69 procent. Liczba ofiar śmiertelnych w tamtym roku wyniosła, uwaga, 7311. Jeśli nawet te 666 trupów z pierwszej połowy tego roku, do 31 grudnia się podwoi... to będzie 6 tysięcy osób zabitych mniej. Przełom!

W tym państwie z kartonu sklejonego szpagatem, gdy jeden rząd wywraca wszystko, co robi drugi, gdzie prezydent zawetuje każdy przepis rządu, zgoda dotycząca bezpieczeństwa okazuje się prawdziwa. I nie chodzi, jak widać, tylko o to militarne. To długa historia dobrych decyzji - pewnie jakieś złe po drodze były również. Ale przez ostatnie 30 lat mieliśmy dużo więcej dobrych zmian. Obowiązkowe pasy w samochodach - tak, tak, kiedyś były nieobowiązkowe. Obowiązek jeżdżenia przez cały rok na światłach. Brak taryfy ulgowej dla kierowców na podwójnym gazie. Ograniczenie prędkości w terenach zabudowanych - tak, strefa tempo 30 to jest przy potrąceniu pieszego różnica między życiem i śmiercią. Fotoradary i odcinkowe pomiary prędkości. Konfiskata aut. I wreszcie przepis, który miał się nie udać: bezwzględne pierwszeństwo pieszych na przejściu. Mieliśmy mieć festiwal wariatów za kółkiem. Owszem, czasem zdarzy się kretyn, brak wyobraźni i umiejętności nadrabiający prędkością. Dla takich jest sąd i więzienie, o ile sami się nie wyeliminują z puli genetycznej. Ale przepis o pierwszeństwie pieszych na pasach działa. Nawet jeśli jeden z drugim sami łamią przepisy, gapiąc się w ekraniki. ©℗

KRAKÓW

Cztery polskie miasta zagrają główne role w amerykańskiej komedii romantycznej. Kraków też

Remigiusz Biały

Kraków to miasto, którym się można zakochać. Nie mamy wątpliwości. Nasze miasto będzie jednym z czterech, które wystąpi w filmie „Finding You, Finding Me". Doskonale zachowane średniowieczne centrum i wpisane na listę UNESCO Stare Miasto mają podkreślić moment refleksji i zwrotów w relacji bohaterów.

Film „Finding You, Finding Me" otworzy Warszawa - nowoczesna stolica, w której stalinowskie gmachy, szklane wieżowce i Starówka tworzą kontrastowy, wielowarstwowy krajobraz. Bohaterowie mają się tu poznać i rozpocząć swoją historię.

Wrocław, określany jako „miasto stu mostów", stanie się przestrzenią najbardziej romantycznych scen. Wyspy, kanały, odrestaurowany Rynek i środkowoeuropejski klimat mają nadać filmowi baśniowy ton.

FOT. TOMASZ STOKOWSKI

Miejsce dobre na współczesny i romantyczny film

Kraków wprowadzi bohaterów w świat historii. Doskonale zachowane średniowieczne centrum i wpisana na listę UNESCO Starówka mają podkreślić moment refleksji i zwrotów w ich relacji.

Finał rozegra się w Gdańsku. Hanzeatyckie fasady Długiego Targu i tętniący życiem port mają symbolicznie domknąć opowieść, otwierając ją na morze i nowe perspektywy.

Dla obu wytwórni Polska nie jest nowym miejscem pracy. Madicus Production ma na koncie pełnometrażowe filmy - „Final Diagnosis" i" Good Grief", realizowane w dużej mierze w Poznaniu i Szczecinie. Pat Battistini, odpowiedzialny za scenariusz i reżyserię nowej produkcji, to filmowiec mocno związany z Polską. Pracował tu na planach kilku filmów, zdobył liczne nagrody festiwalowe, w tym prestiżową Senior Movie Award. Jak podkreślają producenci, to właśnie jego doświadczenie, dostępność anglojęzycznych ekip oraz różnorodność polskich lokacji sprawiły, że wybór naszego kraju był „naturalną decyzją".

Kraków był już planem zdjęciowym „Listy Schindlera". Nowi producenci chcą jednak pokazać Polskę nie jako scenografię do filmów historycznych czy wojennych, lecz współczesne, romantyczne i zabawne miejsce, w którym można się zakochać.

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Dziennik Polski"

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.dziennikpolski24.pl

POGODA

dziś
26°C/17°C

jutro
22°C/11°C

PRZYRODA

Dziewięćsił ma dziewięć mocy. Leczy i odczynia uroki

Grzegorz Tabasz

Tego roku na górskich halach i łąkach dziewięćsiły zakwitły znacznie wcześniej niż zwykle. Pewnie to efekt suszy i gorącej pogody. Niestety, z każdym rokiem jest ich mniej.

Kiedyś trzeba było uważać, by nie usiąść na kolczastej rozecie liści z pojedynczym, ostrym kwiatostanie w centrum. Teraz znikają razem z łąkami, których nikt nie kosi i nie wypasa. Szkoda. Dziewięćsił ma dziewięć, potężnych magicznych mocy. Leczy, rzuca i odczynia uroki. Ksiądz Kluk pisał, iż korzeń rdzawy, dziurawy, ma mocny zapach. Smak ostry, gorzki i nieco korzenny. Skutki jego są poty i robaki pędzące. W potrzebach macicy ma także mieć wielką skuteczność. Wchodzi w lekarstwa końskie. Odwar pięknie goi rany tudzież wrzody. Nic dziwnego, że roślina była powszechnie lubiana. Przy okazji jest uznanym, podhalańskim motywem zdobniczym. Współcześnie w korzeniu rzeczywiście znaleziono silnie działające związki bakteriobójcze, które mogą okiełznać nawet takiego potwora jak gronkowiec złocisty. Ów paskudny mikrob zdobył odporność na wszelakie antybiotyki i niejednemu zniszczył zdrowie. Tylko proszę, nie wyrywajcie dziewięćsiła z ziemi! Chroni go prawo, a farmaceuci muszą mieć zapewniony surowiec do badań. Dla mnie to niezawodny barometr. Otwarte kwiaty są zwiastunem pięknej pogody. Zamknięte wróżą niechybny deszcz i szarugi. Co do najbliższych dni, to dziewięćsiły są pięknie otwarte...

eprasa.pl 9381f2cf8a

KRONIKA KRAKOWSKA

• **Telefon** dziennikarza dyżurnego **697 730 318**
• **e-mail** redakcyjny **redakcja@gk.pl**

TRZEBINIA

Nowa atrakcja przy Balatonie. Budowa coraz bliżej

Nie będzie to kolejny park z alejkami i ławkami. Projekt zakłada stworzenie wielofunkcyjnej przestrzeni, w której będzie można odpocząć, aktywnie spędzić czas, spotkać się ze znajomymi i uczestniczyć w zajęciach edukacyjnych

Sławomir Bromboszcz

Coraz bliżej realizacji inwestycji, na którą mieszkańcy czekali od lat. W sąsiedztwie popularnego Balatonu powstanie Park Rybna - zielona, rekreacyjna i edukacyjna przestrzeń, która ma połączyć wypoczynek, aktywność i kontakt z naturą. Gmina Trzebinia otrzyma ponad 1,3 mln zł dofinansowania z Funduszy Europejskich.

FOT. SALA STUDIO PAULINA WALUSIAK

Trzebinia będzie mieść park miejski

Inwestycja obejmie ponad 2,2-hektarowy teren dawnych stawów hodowlanych przy ul. Rybnej. Przez lata miejsce to pozostawało w dużej mierze niewykorzystane. Zarosłe dawne stawy stanowią jednak teren o ogromnym potencjale - szczególnie ze względu na położenie pomiędzy centrum Trzebini a Balatonem.- Dolina Rybnej ma ogromny potencjał. Chcemy go wykorzystać, ale z poszanowaniem tego, co jest tutaj najcenniejsze - przyrody i zieleni. Park Rybna ma być nowoczesną, przyjazną przestrzenią do odpoczynku, aktywności i spotkań - podkreśla burmistrz Trzebini Jarosław Okoczuk.

Nie tylko park z alejkami

Lokalizacja może być jednym z największych atutów inwestycji. Balaton jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych miejsc rekreacyjnych w Trzebini. W upalne letnie dni kąpielisko i jego okolice odwiedzają tłumy, a nad wodę przyjeżdżają także mieszkańcy innych miejscowości Małopolski Zachodniej, Krakowa czy Śląska.

Park Rybna może więc w przyszłości uzupełnić ofertę tego miejsca. Nie będzie to jednak kolejny typowy park z alejkami i ławkami.

Projekt zakłada stworzenie wielofunkcyjnej przestrzeni, w której będzie można odpocząć, aktywnie spędzić czas, spotkać się ze znajomymi, a także uczestniczyć w wydarzeniach i zajęciach edukacyjnych.

To również szansa na stworzenie atrakcyjnego zaplecza dla osób odwiedzających Balaton. Kto przyjedzie nad wodę, będzie mógł połączyć wypoczynek nad zalewem ze spacerem, przejażdżką rowerową czy odpoczynkiem wśród zieleni.

Bez samochodów

Projekt zakłada zagospodarowanie dwóch z czterech dawnych stawów hodowlanych. Zostaną one połączone poprzez przebicie jednego z wałów. Jednocześnie inwestycja ma możliwie mocno wykorzystać istniejące walory przyrodnicze tego terenu. Zachowana zostanie istniejąca zieleń, a przestrzeń zostanie uporządkowana i połączona z ul. Rybną.

Park ma być wolny od samochodów. Będzie przeznaczony przede wszystkim dla pieszych i rowerzystów. Całość zostanie podzielona na cztery strefy, które połączy kładka spacerowa.

* Strefa aktywności sensorycznej - dla osób w różnym wieku: bezpieczna nawierzchnia piaszczysta, niewielka ścianka wspinaczkowa, zjeżdżalnia oraz elementy rozwijające zmysły.

* Strefa relaksu - pergole z huśtawkami i miejscami do odpoczynku.

* Strefa edukacyjno-kulturalna - niewielki amfiteatr do lekcji w plenerze, wydarzeń miejskich czy kina pod chmurką, a także tablice informacyjne przypominające historię tego miejsca.

* Strefa wyciszenia i widokowa - naturalistyczna zieleń, punkt widokowy z poziomu ul. Rybnej oraz możliwość zejścia na niższy poziom.

* Strefy połączy drewniana kładka, a projekt zakłada wykorzystanie naturalnych materiałów i ograniczoną ingerencję w istniejącą przyrodę. Co ważne - w parku nie zostanie wycięte żadne drzewo. Zaplanowano nasadzenia rodzimych gatunków drzew i krzewów oraz budki lęgowe dla ptaków. Ważnym elementem zielono-niebieskiej infrastruktury będzie również niecka bioretencyjna, która pozwoli zatrzymywać i oczyszczać wodę opadową z wykorzystaniem naturalnych procesów.

To oznacza, że nowe zagospodarowanie terenu nie będzie polegało na „zabetonowaniu". Wręcz przeciwnie - jednym z założeń jest zachowanie istniejącej zieleni i możliwie niewielka ingerencja w naturalny charakter doliny.

Dla każdego

O stworzeniu parku w tej części Trzebini mówiło się już wcześniej. Miasto od dawna nie miało dużej, nowoczesnej przestrzeni parkowej, która łączyłaby rekreację, wypoczynek i wydarzenia kulturalne.

- To będzie przestrzeń dla każdego - dzieci, młodzieży, dorosłych i seniorów. Na spacer, przejażdżkę rowerową, chwilę relaksu z książką czy spotkanie z bliskimi. To miejsce ma po prostu zachęcać, żeby wyjść z domu i spędzić czas blisko natury - mówiła podczas prezentacji projektu radna Monika Kłak-Gorlewicz, mieszkanka osiedla Centrum.

Projekt przygotowała architektka Paulina Walusiak z Sala Studio. Już na etapie koncepcji zwracano uwagę na to, aby park nie był wyłącznie trasą spacerową, lecz rzeczywiście „ożywił" teren dawnych stawów.

Park Rybna ma potencjał, aby stać się jednym z ciekawszych miejsc rekreacyjnych w Trzebini. Szczególnie istotne jest jego położenie - pomiędzy Balatonem a Dworem Zieleniewskich, w pobliżu centrum miasta.

Jeśli inwestycja zostanie zrealizowana zgodnie z założeniami, Trzebinia zyska miejsce, którego do tej pory wyraźnie jej brakowało: dużą, zieloną przestrzeń do codziennego wypoczynku, ale również miejsce atrakcyjne dla osób przyjeżdżających do miasta.

AKCJA CHARYTATYWNA 0011544991

eprasa.pl 9381f2cf8a

NAWIGATOR

Premier Tusk wspierał Monikę Piątkowską. Padły obietnice

Arkadiusz Maciejowski

Już od kilku dni po Krakowie krążyły informacje, że premier Donald Tusk pojawi się pod Wawelem, by wesprzeć Monikę Piątkowską w walce o fotel prezydenta Krakowa. Przyjechał wczoraj. Padły obietnice w sprawie metra i opłaty turystycznej.

FOT. ANNA KACZMARZ

Premier: Zznam zaciętość i kompetencje pani Moniki

- To Wy mieszkanki i mieszkańcy Krakowa zdecydujecie, kto ma zostać prezydentem. Ja jestem tutaj aby powiedzieć, że znam zaciętość i kompetencje Pani Moniki. Ale powtarzam, to Wy zdecydujecie, kto będzie prezydentem Krakowa - powiedział premier Donald Tusk.

Deklaracja

Donald Tusk potwierdził chęć budowy metra w Krakowie oraz jego finansowanie.- Ministerstwo Infrastruktury przygotowało program warty 10 miliardów euro, czyli program finansujący budowę metra w różnych miastach, w tym w Krakowie. Upewniłem się u Pani Moniki. Kraków jest na to gotowy - dodał.

Przyznał, że Kraków jest najbardziej zaawansowany jeżeli chodzi o planowanie budowy metra. Zapewnił, że pieniądze na taką inwestycję mogą zostać przeznaczone m.in. ze środków europejskich i innych funduszy, jakie może pozyskać państwo.

Padły pytania kiedy metro mogłoby być budowane i czy to dopiero może być 2045 rok, jak podawał pełniący obowiązki prezydenta Krakowa Stanisław Kracik. - Znam Stanisława Kracika z jego dużej ostrożności. To kiedy inwestycja może zostać zrealizowana zależy od tego, kiedy w Krakowie przygotujecie kompletną dokumentację niezbędną do realizacji tej inwestycji - zaznaczył premier.

Dodatkowe miliony

Premier odniósł się też do opłaty turystycznej. Szacuje się, że jej pobieranie może przynieść nawet 100 mln zł rocznie.- Zamierzamy wprowadzić opłatę turystyczną w takim zakresie, by pieniądze trafiały do gminy. Zakładamy, że takie przepisy mogłyby obowiązywać od przyszłego sezonu turystycznego - mówił Donald Tusk.

Przypomnijmy, że senator Monika Piątkowska informowała o prowadzonych przez nią rozmów ws. opłaty turystycznej prowadzonych w Ministerstwie Finansów. Po nich deklaracje w tej sprawie w Krakowie przedstawił premier Donald Tusk.

Wizyta premiera to nie tylko wsparcie kandydatki na prezydenta , ale zapewne odpowiedź na ostatnią inicjatywę PiS.Beata Szydło, Małgorzata Wassermann, Przemysław Czarnek, Andrzej Adamczyk - grupa czołowych polityków PiS wsparła Michała Drewnickiego - kandydata tej partii na prezydenta Krakowa..

NOWY SĄCZ

Andrzej Poczobut na Sądecczyźnie. Zachwyciło go Miasteczko Galicyjskie

Alicja Fałek

Andrzej Poczobut przebywa na Sądecczyźnie. Dziennikarz, działacz Związku Polaków na Białorusi, więziony przez białoruski reżim wraz z małżonką zwiedził Krynicę-Zdrój i Muszynę, a także Stary i Nowy Sącz. Spotkał się także z sądeckimi samorządowcami i parlamentarzystami. Starosta nowosądecki odznaczył go Złotym Jabłkiem Sądeckim.

FOT. STAROSTWO POWIATOWE W NOWYM SĄCZU

Andrzej Poczobut przebywa na Sądecczyźnie z żoną

Andrzej Poczobut odzyskał wolność po ponad pięciu latach spędzonych w białoruskich więzieniach. Do powrotu doszło w ramach międzynarodowej wymiany więźniów. Przebywa aktualnie w Polsce i przechodzi rekonwalescencję. Ten czas wykorzystuje także na odkrywaniu różnych zakątków Polski. Właśnie przebywa na Sądecczyźnie.

Polsko-białoruski dziennikarz miał już okazję zwiedzić dwa sądeckie uzdrowiska – Krynicę-Zdrój oraz Muszynę. W środę gościł w Starym Sączu, gdzie m.in. zobaczył ołtarz papieski. Następnie udał się do Nowego Sącza. Spacerował po deptaku ulicą Jagiellońską oraz po nowosądeckim Rynku. Udał się także na zwiedzanie Miasteczka Galicyjskiego, a swoimi wrażeniami podzielił się na w mediach społecznościowych.

„Miasteczko Galicyjskie. Czas się zatrzymał w XIX stuleciu. Jest Ratusz, rynek, poczta, sklep kolonialny, swoi krawiec i fryzjer, strażacka remiza... Setki artefaktów. Nic dziwnego że często właśnie tu kręcą filmy. Niesamowita atmosfera. Dziękuję za niesamowitą podróż w czasie" – napisał na swoim profilu na Facebooku Andrzej Poczobut.

Działacz Związku Polaków na Białorusi odwiedził również Starostwo Powiatowe w Nowym Sączu. Tam spotkał się ze starostą nowosądeckim Tadeuszem Zarembą, wicestarostą Antonim Koszykiem, przewodniczącym Rady Powiatu Nowosądeckiego Markiem Pławiakiem i członkiem Zarządu Powiatu Nowosądeckiego Franciszkiem Kantorem.

SUŁOSZOWA

Coraz więcej zbiorników retencyjnych pod Krakowem. Powstaje kolejny

Barbara Ciryt

Nowy zbiornik retencyjny powstaje przy drodze powiatowej relacji Przeginia - Sułoszowa. Będą do niego spływały wody opadowe i roztopowe z systemu odwadniającego drogę.

W powiecie krakowskim zbiorniki są budowane i odnawiane w kilku gminach. Pełnią kluczową funkcję w ochronie przed podtopieniami, łagodzeniu skutków suszy oraz regulacji lokalnych cieków, potoków. Przykładem jest budowa szczelnego zbiornika w Sułoszowej. To zadanie realizowane przez Zarząd Dróg Powiatu Krakowskiego. Obiekt powstaje bezpośrednio przy drodze powiatowej Przeginia – Sułoszowa. Koszt prac wynosi 517 tys. zł.

Będzie to zbiornik ze zjazdem i placem do nawracania dla pojazdów technicznych. Zbiornik o długości dna wynoszącej 40 metrów osiągnie maksymalną objętość 1050 metrów sześciennych. Cały teren zostanie ogrodzony, a dla pojazdów technicznych zaplanowano specjalny plac do nawracania. Zakończenie prac przewidziano na wrzesień 2026 roku.

Także w gminie Skawina są planowane zbiorniki retencyjne. Oprócz planowanych wielkich polderów w Kopance, gmina silnie stawia na mikroretencję, udostępniając mieszkańcom zbiorniki na deszczówkę i tworząc ogrody deszczowe.

PORZĄDEK POGRZEBÓW — DZIŚ ŻEGNAMY

Cmentarz Rakowicki
9:40 - Irena Pawlik (lat 92)
10:20 - Adam Różycki (lat 78)
11:00 - Jadwiga Punzet (lat 87)
11:40 - Artur Kaim (lat 60)
12:20 - Henryk Krzemiński (lat 64)
13:00 - Larysa Kaczmarczyk (lat 85)
13:40 - Krystyna Flegier (lat 101)

Cmentarz Podgórski
10:00 - Andrzej Jasiński (lat 71)
11:00 - Zofia Godzik (lat 94)

Cmentarz Prądnik Czerwony
9:00 - Katarzyna Cekańska (lat 74)
9:40 - Roman Stępkowski (lat 67)
10:20 - Kazimierz Synowiec (lat 97)
11:00 - Kazimierz Lech (lat 83)
11:40 - Janina Kamińska (lat 83)
11:40 - Paweł Bednarz (lat 63)
12:20 - Tadeusz Biedrzyński (lat 88)
12:20 - Stanisław Zawartka (lat 91)
13:00 - Paweł Krawczyk (lat 50)
13:40 - Julia Rychlewicz (lat 70)

Cmentarz Grębałów
9:00 - Sylwia Batko (lat 42)
9:40 - Władysław Rosa (lat 93)
11:00 - Maciej Datoń (lat 20)
11:00 - Remigiusz Zalewski (lat 83)
11:40 - Roman Kulka (lat 77)
12:20 - Anna Winiarska (lat 64)
13:00 - Artur Skowron (lat 69)
13:40 - Krystyna Łozińska (lat 97)

Cmentarz Komunalny w Podgórkach Tynieckich
8:30 - Lidia Kurpiel (lat 82)
13:30 - Maryna Demchuk (lat 47)

AKCJA CHARYTATYWNA
0011544962

eprasa.pl 9381f2cf8a

ZDMK ZAPOWIADA „ANALIZĘ TECHNICZNĄ"

Z przystanku prosto pod koła roweru. Ta ścieżka pieszo-rowerowa w Krakowie to nieporozumienie

Ewa Wacławowicz

Ta ścieżka pieszo-rowerowa na Prokocimiu została wytyczona tak, by wręcz generować niebezpieczne sytuacje. Biegnie pomiędzy wiatą przystanku tramwajowego a torowiskiem. Mieszkańcy proszą miasto o interwencję i poprawę bezpieczeństwa. Miasto odpowiada, że są znaki pionowe i trzeba się do nich stosować. Zapowiada jednak analizę.

FOT. EWA WACŁAWOWICZ

Ścieżka pieszo-rowerowa na krakowskim Prokocimiu. Po lewej torowisko, po prawej wiata przystanku

Na problem zwracają uwagę mieszkańcy , którzy codziennie korzystają z przystanków Wlotowa 02 i Prokocim 02. Stąd tramwaje odjeżdżają w kierunku centrum Krakowa. Gdy pasażerów oczekujących jest dużo i nie mieszczą się na przystanku, muszą wyjść poza wiatę, a to grozi już kolizją z jadącymi rowerami i hulajnogami. Na jadących ścieżką muszą też uważać pasażerowie wysiadający z tramwajów. Ci, którzy czekają na przystanku zgodnie przyznają, że sytuacja jest niebezpieczna. - Nie mieści mi się w głowie, że ktoś wpadł na taki pomysł. Jakby nie można była poprowadzić ścieżki za przystankiem, a nie przed. Albo choć zrobić ją węższą. A tak, ruszając do tramwaju trzeba się rozglądać na boki, żeby nie zostać rozjechanym - mówi jedna z kobiet.

Inny mieszkaniec dodaje, że choć rozumie konieczność realizacji ścieżki pieszo rowerowej, trakty powinny być wyraźnie rozdzielone, żeby nie dochodziło do niebezpiecznych zdarzeń.- Tu już raz potrącono dziecko - mówi. Na szczęście skończyło się na siniakach, ale to nie są żarty. Źle poprowadzono tę ścieżkę i tyle. Tam dalej trakty się rozdzielają. Piesi mają swoją połowę, a rowerzyści i hulajnogi swoją. I okej. Tu przy przystanku powinno być podobnie. Same znaki pionowe nic nie dadzą - kwituje.

Na niebezpieczną ścieżkę uwagę zwrócił również krakowski radny Rafał Zawiślak. W odpowiedzi na jego interpelację pełniący obowiązki prezydenta Krakowa Stanisław Kracik informuje, że miasto ma świadomość konfliktu w tym miejscu, ale wyznaczenie dwóch osobnych traktów nie jest możliwe. „Uwzględniając specyfikę obu lokalizacji oraz istniejące uwarunkowania przestrzenne zastosowano odpowiednie oznakowanie pionowe i poziome, wskazujące na prowadzenie w tym rejonie wspólnego ciągu pieszo-rowerowego. W obecnych warunkach przestrzennych wyznaczenie dwóch niezależnych, rozdzielonych ciągów dla ruchu pieszego i rowerowego nie jest możliwe bez ingerencji w pozostałe funkcje pasa drogowego oraz konieczności przebudowy istniejącej infrastruktury" - pisze Stanisław Kracik.

Dodaje , że wedle przepisów prawa kierujący rowerem korzystając z drogi dla pieszych i rowerów jest obowiązany zachować szczególną ostrożność oraz ustępować pierwszeństwa pieszemu. „Zasady te mają szczególne znaczenie w rejonie przystanków komunikacji miejskiej, gdzie ze względu na zwiększony ruch pieszy dochodzi do częstego przecinania ciągów rowerowych przez pasażerów korzystających z komunikacji zbiorowej" - pisze.

Twierdzi również, że ani progi zwalniające ani fala nie są dobrym rozwiązaniem na tym odcinku. A na uspokojenie ruchu ma wpływać przewężenie powierzchni użytkowej do 2,5 metrów dla osób jadących od strony centrum Krakowa oraz nawierzchnia z kostki frezowanej, która spowalnia jazdę.

Jak informuje Stanisław Kracik, Zarząd Dróg Miasta Krakowa dostrzega problem trudnych warunków . Zapowiada też, że inspektorzy ZDMK przeprowadzą weryfikację techniczną przystanków „Prokocim" i „Wlotowa" do końca września.

MATERIAŁ INFORMACYJNY T-MOBILE
0011568144

Rewolucja w polskim wideo. 75 kanałów bez umowy, bez dekodera i dla każdego internauty

Polski rynek telewizyjny doczekał się rozwiązania, które może zmienić dotychczasowe zasady gry. T-Mobile jako pierwszy operator w kraju udostępnia 75 kanałów telewizyjnych za 0 zł miesięcznie po uwzględnieniu rabatów – bez umowy, konieczności korzystania z usług sieci czy posiadania dekodera. Magenta TV stawia na swobodę wyboru i możliwość oglądania na dowolnym urządzeniu – od smartfona po Smart TV. Oferta jest dostępna dla abonentów wszystkich sieci po rejestracji na stronie t-mobile.pl oraz wyrażeniu wymaganych zgód. Cena 0 zł miesięcznie uwzględnia rabaty w wysokości 5 zł za zgody marketingowe oraz 5 zł za obsługę elektroniczną.

Telewizja wciąż pozostaje ważną częścią codzienności Polaków, ale zmienił się sposób, w jaki z niej korzystamy. Duży ekran nie jest już jedynym centrum domowej rozrywki – wiadomości, transmisje na żywo czy programy możemy oglądać także na smartfonach, tabletach i laptopach.
Jednocześnie rosnące koszty życia sprawiają, że uważniej podchodzimy do kolejnych subskrypcji i pakietów. Tradycyjny model z długoterminową umową, dekoderem i stałą opłatą coraz mniej odpowiada widzom, którzy oczekują przede wszystkim swobodnego dostępu do treści – bez zbędnych formalności i kosztów.

Koniec z dyktatem abonamentu!
Odpowiedzią na te potrzeby jest rozwiązanie, na które dotąd nie zdecydował się żaden operator infrastrukturalny w Polsce. T-Mobile odchodzi od tradycyjnego modelu i udostępnia platformę MagentaTV bez barier ograniczających dostęp do telewizji. Użytkownicy mogą bezpłatnie korzystać z pakietu 75 kanałów telewizyjnych. Oferta nie wymaga podpisywania umowy, terminowych zobowiązań ani korzystania z innych usług T-Mobile. Z MagentaTV może korzystać każdy internauta, niezależnie od operatora internetu czy sieci komórkowej. Aplikacja działa na smartfonach, tabletach, laptopach oraz telewizorach Smart TV, dzięki czemu nie ma potrzeby instalowania dodatkowego dekodera. Użytkownik sam decyduje, co i gdzie chce oglądać.
– Klienci mają dziś dość ofert, które narzucają im sztywne ramy i zmuszają do płacenia za treści, z których nie korzystają. Chcemy maksymalnie uprościć kontakt z naszą technologią i dać ludziom pełną kontrolę. MagentaTV daje dostęp każdemu, na jego własnych zasadach, bez względu na to, w jakiej sieci ma telefon czy internet – podkreśla Maximiliano Bellassai, członek zarządu T-Mobile Polska ds. rynku prywatnego.

Technologia dostępna bez wyjątku
Otwarcie telewizji na wszystkich użytkowników internetu jest kolejnym etapem zmian, które T-Mobile wprowadza od lat. Firma stopniowo odchodzi od zamkniętych ekosystemów i usuwa bariery ograniczające dostęp do nowych technologii. Wcześniej w ofercie pojawiły się smartfony z serii T Phone oraz Magenta AI. Teraz do tego zestawu dołącza telewizja, uzupełniając portfolio usług obejmujące m.in. sieć 5G Bardziej i internet światłowodowy.

Telewizja dla każdego za 0 zł/mies. po rabatach (5 zł za zgody marketingowe i 5 zł za obsługę elektroniczną) dostępna dla abonentów wszystkich sieci po zarejestrowaniu się na stronie www.t-mobile.pl oraz po wyrażeniu zgód.

– Trzydzieści lat temu uruchamialiśmy pierwszą w Polsce cyfrową sieć komórkową, udowadniając, że nowoczesna łączność może trafić do każdego. Dziś stoimy w zupełnie innym punkcie rozwoju technologii, ale nasz cel pozostaje ten sam: usuwanie sztucznych barier. Otwarcie dostępu do telewizji bez względu na sieć, z której ktoś korzysta, to naturalna konsekwencja myślenia o technologii jako narzędziu, które ma ułatwiać codzienne życie, a nie komplikować je kolejnymi formalnościami – mówi Andreas Maierhofer, prezes zarządu T-Mobile Polska.

Zero kabli, zero technicznych barier
Jedną z największych barier związanych z tradycyjną telewizją pozostaje konieczność organizowania dodatkowego sprzętu i jego instalacji. Oczekiwanie na dekoder, prowadzenie kabli, montaż anteny czy konfiguracja urządzeń mogą zniechęcać do korzystania z usługi. MagentaTV odchodzi od tego modelu. Całość działa w formie aplikacji, którą można zainstalować na kompatybilnym urządzeniu. Nie trzeba więc ponosić opłat aktywacyjnych ani kosztów dzierżawy sprzętu.

Nowy wymiar wspólnego oglądania
Mimo rozwoju streamingu kanały linearne nadal odgrywają ważną rolę. Uzupełniają serwisy VoD, oferując dostęp do wydarzeń na żywo, transmisji sportowych czy programów informacyjnych, które pozwalają widzom wspólnie przeżywać najważniejsze momenty w czasie rzeczywistym.
Telewizję można dziś oglądać na wielu urządzeniach – nie tylko przed dużym ekranem, ale także na smartfonie, tablecie czy laptopie. Dzięki temu staje się bardziej mobilna i lepiej dopasowana do codziennego stylu życia.

eprasa.pl 9381f2cf8a

TURYSTYCZNY GAME CHANEGR

Muzeum Krakowa wskrzesza średniowieczną opowieść o mieście. „Był wtedy metropolią”

Anna Piątkowska

Średniowieczny Kraków to opowieść, na która w najbliższych latach chce postawić Muzeum Krakowa.. - Chcemy budować ofertę wynikającą z przekonania, że średniowieczna tkanka miasta jest niezwykłą wartością - mówi nam dr Michał Niezabitowski, dyrektor Muzeum Krakowa.

FOT. ANNA KACZMARZ

Średniowieczny Kraków to - można powiedzieć - temat przewodni tego lata w Muzeum Krakowa. Wydaje się, że to oczywisty samograj.

Michał Niezabitowski: Nie do końca. Narracja o mieście średniowiecznym przez całe dekady w Krakowie była bardzo silna. W 20-leciu międzywojennym oferta turystyczna w dużej mierze była oparta właśnie na tym zachwycie nad średniowiecznymi zabytkami Krakowa, potem gdzieś się to średniowiecze zagubiło. Chcemy przypomnieć, zwłaszcza, że jako Muzeum Krakowa mamy pod opieką kilka emblematycznych zabytków: Barbakan, mury obronne, Wieża Ratuszowa. Jeszcze kilka dekad temu były one ikonami, do których po prostu się przychodziło, absolutne samograje z dużą frekwencją odwiedzin.

Dziś prym wiedzie wśród oddziałów Muzeum Krakowa opowieść współczesna. To znaczy, że średniowiecze się znudziło, spowszedniało?

Nie wiem, czy się znudziło, mam nadzieję, że nie. Mam jednak wrażenie, że dziś młodzi ludzie potrzebują innej opowieści o średniowieczu. Dużym zainteresowaniem cieszy się nasz oddział Rynek Podziemny, ale autentyczne elementy architektury średniowiecznej: Barbakan, Wieża Ratuszowa i Mury Obronne nie cieszą się aż takim zainteresowaniem. Można powiedzieć, że one są zabytkami średniowiecza w wersji saute i dziś to nie wystarcza. W dzieciństwie mogłem na murach obronnych spędzać niezliczoną ilość czasu, rozpalały moją wyobraźnię, ale dziś to tak nie działa.

Trzeba ozdobić autentyczne mury opowieścią?

Tak się wydaje, że współczesny człowiek potrzebuje na nowo zbudowanej narracji, niekoniecznie multimediów, ale atrakcyjnego przekazu. Pierwszym etapem w tworzeniu tej opowieści jest sieciowanie – to robimy tego lata, bo projekt opowiadający o średniowiecznym Krakowie nie jest skrojony tylko na wakacje, a na kilka lat. Kolejnym etapem będzie budowanie oferty opartej o wartości wynikające ze średniowiecza, ale nie mające nic wspólnego z traktowaniem tego jako czasu mroku i zacofania. Chcemy budować ofertę wynikającą z przekonania, że średniowieczna tkanka miasta jest niezwykłą wartością. Pewne, wówczas przyjęte rozwiązania, dziś również niosą nowoczesną treść.

W następnym sezonie zbudujemy nową wystawę w Barbakanie, który w najbliższym czasie przejdzie remont konserwatorski przywracający mu blask. Barbakan, który kiedyś był fortecą dziś jest cudowną areną teatralną. To miejsce idealnie nadaje się do tego, by zbudować tam opowieść o mieście średniowiecznym, ale bez ingerencji w tkankę zabytkową m.im. poprzez mapowanie połączone z narracją, którą zwiedzający dostaną w słuchawkach. Musi być ona jednak oparta o wiedzę, nie chcemy naiwnej i sprymitywizowanej narracji. Takim przykładem kierunku, w którym dążymy była opowieść o Wawelu wymapowana na murach Zamku Królewskiego, która została bardzo dobrze przyjęta.

Jest już koncepcja tej wystawy?

Będzie opowiadała m.in. o siedmiu krakowskich bramach wprowadzających do miasta, z których do dziś zachowała się zaledwie jedna – Brama Floriańska. Naszą opowieść o mieście i średniowieczu chcemy prowadzić w kontekście wartości. Taką wartością była np. otwartość Krakowa. Przywróciliśmy kilka tygodni temu zwyczaj otwierania bram miasta. Współczesny mieszkaniec potrzebuje obrzędów budujących wspólnotę, jednym z takich obrzędów jest zamykanie i otwieranie bramy, ważnym ze względu na swoją symbolikę otwartości miasta. Oczywiście, podobnie jak w średniowieczu, to otwartość z wyraźnie zaznaczonymi zasadami, według których goście mogą przebywać w murach miasta. Dziś tymi gośćmi są turyści. Chcemy, by średniowiecze stało się pretekstem do narracji, które są istotne także w naszym świecie. Jeśli Kraków kiedykolwiek był globalną metropolią, jednym z kilkunastu liczących się na świecie miast, to było to właśnie w średniowieczu. Po lokacji miasto było jednym z głównych ośrodków handlowych na starym kontynencie, potężnym miastem. Można powiedzieć, że Kraków miał w tamtym świecie taką pozycję jak dziś Nowy Jork. Ta opowieść wydaje się atrakcyjne z wielu perspektyw. W momencie, gdy dziś na kontynencie poddanym działaniom wielu sił dezintegracyjnym atrakcyjna może być opowieść o średniowieczu, w którym sieć miast rządzących się tym samym prawem magdeburskim, tworzy najstarszą w Europie unię. A jest to lekko licząc około tysiąca miast w środkowo-zachodniej Europie. To opowieść budująca wspólnotę także poprzez symbole. Więc zaczęliśmy w te wakacje biletem łączonym do oddziałów Muzeum Krakowa opowiadających o średniowieczu, ale to dopiero początek naszego planu na nową narrację o Krakowie tego okresu.

Rynek Podziemny wkrótce straci swoje „okno na świat”, kiedy fontannę Kryształ zastąpi nowy projekt.

Nie odbieram tego w kategoriach straty, przeciwnie. Cieszę się z takiego wyboru komisji konkursowej, byłem zresztą jej członkiem. Nie upatruję wartości samej w sobie w przezierności, którą daje obecna fontanna – ona nie jest wcale największą atrakcją, choć oczywiście turyści zatrzymują się tam, by robić selfie. Problemów jednak przysparza co niemiara, np. nie przewidziano tego, że różnice temperatur będą powodować skraplanie się tam wody. Fontanna Kryształ była ciekawym rozwiązaniem na wizualizacji, natomiast w rzeczywistości jak kryształ raczej nie wyglądała. Ta, która ma ją zastąpić wychodzi z niezwykle nowatorskich inspiracji przestrzenią i geografią Krakowa, jest dyskretną i artystyczną formą. Nie będę tęsknił za Kryształem.

Muzeum Krakowa składa się dziś niemal z dwudziestu oddziałów. To dużo, a lada chwila dołączą kolejne - nie boli Pana głowa od przybytku?

Muzeum Krakowa jest dziś największym muzeum miejskim w Europie. To jest kontynuacja pewnego eksperymentu osadzonego w refleksji – jedno miasto, jedno muzeum, tysiące opowieści. Wydaje mi się, że to dobry pomysł, kiedy jeden bardzo dobry zespół ludzi głęboko zaangażowanych buduje opowieść o mieście, nie konkurencyjną a synergiczną. To narracja o mieście, która zaczyna się w Podziemiach Rynku i w średniowieczu, przechodzi przez dziedzictwo żydowskie, dziedzictwo „Wesela”, życia mieszczan i wielu innych naszych oddziałów – cały czas mówimy o jednym mieście, które składa się z wielu fenomenów. Owszem, głowa czasem boli, ale ta piękna opowieść, która jest na końcu, jest najlepszą tabletką przeciwbólową.

AKCJA CHARYTATYWNA
0311545626

eprasa.pl 9381f2cf8a

FOKUS

• Dzisiaj benzyna 95 będzie kosztować nie więcej niż 6,52 zł za litr, benzyna 98 – 7,33 zł/l, a olej napędowy – 7,56 zł/l

BEZPIECZEŃSTWO

Polska od lat buduje zintegrowaną i wielowarstwową obronę powietrzną

Wszystkie możliwe do użycia polskie systemy obrony powietrznej są rozmieszczone według wskazań wojska - powiedział w czwartek wicepremier, szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz

oprac. Karolina Wrońska

Podczas konferencji prasowej w Płocku szef MON odniósł się do pojawiających się w ostatnich dniach w przestrzeni medialnej pytań w sprawie rozmieszczenia polskich systemów obrony powietrznej.

Dyskusja na temat obrony polskiego nieba wywiązała się po słowach zastępcy szefa Agencji Uzbrojenia gen. bryg. Michała Marciniaka z soboty. Zapytany w Polsat News, czy miasta w Polsce są objęte obroną przeciwrakietową, gen. Marciniak odpowiedział, że „duże miasta na dzisiaj nie, dlatego że nie mamy rozstawionych wokół nich systemów", jednak „zapewne będą chronione", jeżeli przejdziemy do fazy wojennej, gdyż „jest lista priorytetów" i „to państwo musi podjąć decyzję, co jest kluczowe".

Kosiniak-Kamysz zaznaczył w czwartek, że Polska od kilku lat buduje zintegrowaną, wielowarstwową obronę powietrzną.

W jej skład wchodzą: program Wisła z amerykańskimi systemami średniego zasięgu Patriot, program Narew oparty na brytyjskich pociskach przeciwlotniczych krótkiego zasięgu (ok. 45 km) z rodziny CAMM, oraz program tzw. bardzo krótkiego zasięgu Pilica i Pilica+ oparty o polskie działka przeciwlotnicze, rakiety Grom i Piorun oraz o pociski CAMM.

FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK

Wicepremier, minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz podczas konferencji prasowej w Płocku

Cały ten system - podkreślił szef MON – nadal jest w trakcie budowy, a nie wszystkie elementy zostały jeszcze dostarczone. Zauważył, że dostawy niektórych systemów przewidziane są na kolejne lata.

- Nie ma drugiej sfery w polskim bezpieczeństwie, w którą byłoby zainwestowane tak dużo pieniędzy, jak w obronę przeciwlotniczą, przeciwrakietową, przeciwdronową, czyli obronę powietrzną państwa polskiego. To jest ponad 200 miliardów złotych w różnego rodzaju kontraktach – zaznaczył Kosiniak-Kamysz.

Wicepremier podkreślił, że „wszystkie systemy, które są możliwe do użycia, dzisiaj są w dyspozycji armii, są zagospodarowane i rozmieszczone według wskazań wojska", na podstawie doświadczeń i posiadanych informacji.

- Dlatego tak wiele tych systemów jest rozstawionych w województwie lubelskim, w województwie podkarpackim i w tych miejscach, gdzie ochrona infrastruktury krytycznej, tak jak tutaj w Płocku, jest kluczowa dla bezpieczeństwa państwa polskiego – dodał.

Wśród priorytetów minister obrony wymienił ochronę rafinerii w Płocku, „całej aglomeracji, ludności, infrastruktury krytycznej oraz wojsk własnych". Przypomniał, że sojusznicze systemy obrony powietrznej są rozmieszczone w Polsce od wielu miesięcy. Wskazał na holenderskie baterie Patriot, które chronią Rzeszów i lotniska w Jasionce.

Szef MON mówił też o zintegrowanej ochronie ściany wschodniej i Warszawy oraz o zaangażowaniu jednostek przeciwlotniczych, m.in. w Braniewie, Gołdapi i na granicy polsko-białoruskiej.

Kosiniak-Kamysz zapowiedział też, że „będą potrzebne zmiany w ustawie o obronie Ojczyzny, żeby szybciej jeszcze móc rozmieszczać różnego rodzaju sprzęt i jednostki".

Dowódca 3. Brygady Rakietowej Obrony Powietrznej płk Mariusz Czeczko podkreślił, że dzisiaj „praktycznie każdy z dywizjonów jest zaangażowany w osłonę naszego polskiego nieba", a wszystkie systemy uzbrojenia i środki bojowe, jakie są w dyspozycji wojska, są w ten proces zaangażowane.

PAP

KRÓTKO

Śląskie

Wyrzucił świnki morskie na śmietnik

Policjanci z Siemianowic Śląskich zatrzymali 84-latka, który pozbył się kilkunastu świnek morskich, wyrzucając je do śmieci. Mężczyzna usłyszał zarzuty dotyczące usiłowania uśmiercenia trzynastu świnek morskich, poprzez wyrzucenie ich do kontenerów na odpady. Za takie przestępstwo grozi do 3 lat więzienia. Świnkami zaopiekowało się jedno ze stowarzyszeń.

Ekologia

Zmiany w systemie kaucyjnym

Paulina Hennig-Kloska - minister klimatu i środowiska zapowiada zmiany w systemie kaucyjnym. Mają one dotyczyć wydłużenia ważności bonów z kaucjomatów. „W ramach usprawnień będziemy chcieli ustawowo wydłużyć termin ważności bonów, by były ważne znacznie dłużej niż 30 dni" – napisała minister na platformie X. I dodała: „System kaucyjny ma działać dla ludzi, nie odwrotnie. Naszym priorytetem jest wygoda zwrotu".

Rynek pracy

Pensje rosną, ale zatrudnienie spada

Przeciętne wynagrodzenie brutto w sektorze przedsiębiorstw w lipcu 2026 r. wzrosło o 6,8 proc. rdr i wyniosło 9.509,02 zł - podał Główny Urząd Statystyczny. Zatrudnienie w tym sektorze rdr spadło o 0,8 proc. Wzrost przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia w lipcu 2026 r. w ujęciu miesiąc do miesiąca wynikał z dodatkowych wypłat, m.in. nagród i premii – kwartalnych, rocznych i uznaniowych, nagród jubileuszowych oraz odpraw emerytalnych – podał GUS.

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Prezydent Karol Nawrocki zajmie stanowisko w sprawie zapowiedzianych przez rząd zmian podatkowych po przedstawieniu projektu ustawy

RAFAŁ LEŚKIEWICZ
rzecznik prezydenta RP

KRAKÓW

Premier o zmianie w opłacie turystycznej

Karolina Wrońska

Premier Donald Tusk powiedział w czwartek, że planowana opłata turystyczna będzie trafiała w 100 procentach, nie w 80 proc., do budżetu gminy.

Premier zapowiedział zmianę w w Krakowie, gdzie spotkał się z Moniką Piątkowską, kandydatką na prezydenta tego miasta. – Monika Piątkowska dzisiaj zwróciła moją uwagę, że dobrze byłoby i wstępnie ustalałem to też z ministrem finansów, żeby ta propozycja opłaty turystycznej w 100 procentach wracała do gminy, nie w 80 – powiedział premier.

Projekt dotyczący opłaty turystycznej, który jest w Sejmie, zakłada obecnie, że do budżetu gminy miałoby trafić 80 proc. – Wydaje się, że tutaj ta opłata turystyczna nie ma finansować turystyki, tylko ma rekompensować to wszystko, co miasto wydaje w związku z turystyką – wskazał Tusk. – Dlatego ja przychylam się do pani wniosku i tę zmianę, drobną, ale istotną wprowadzimy – zapowiedział premier.

EDUKACJA

Znane są terminy matur i egzaminów ósmoklasisty

Karolina Wrońska

W roku szkolnym 2026/2027 pisemne egzaminy maturalne w sesji głównej przeprowadzone zostaną w dniach 4-24 maja. Egzamin ósmoklasisty odbędzie się od 10 do 12 maja.

Centralna Komisja Egzaminacyjna opublikowała harmonogram egzaminów zewnętrznych.

Egzamin ósmoklasisty przeprowadzony zostanie w dniach 10-12 maja. 10 maja będzie egzamin z języka polskiego, 11 maja z matematyki, a 12 maja z języka obcego nowożytnego. Dodatkowy termin egzaminu ósmoklasisty dla uczniów, którzy nie będą mogli przystąpić do niego w terminie głównym, wyznaczono na 9-11 czerwca. Wyniki egzaminu ósmoklasisty ogłoszone zostaną 6 lipca.

Matury, w sesji głównej, przeprowadzone zostaną w dniach 4-31 maja. Sesję egzaminów pisemnych zaplanowano w dniach 4-24 maja, a ustnych 6-31 maja. Wyniki matur ogłoszone zostaną 9 lipca.

eprasa.pl 9381f2cf8a

WŁOCHY

85-letnia seniorka postrachem przestępców

Anna Nagel

85-letnia mieszkanka Ligurii na północy Włoch pięć razy doprowadziła do aresztowania przestępców, którzy próbowali ją okraść, stosując różne metody oszustwa.

Dziennik „La Repubblica” w wydaniu z Genui opisał zmagania seniorki mieszkającej w miejscowości Bordighera z oszustami, którzy pięć razy próbowali ją okraść. Kobieta nie dała się oszukać dzięki refleksowi i współpracy z karabinierami. Rezultat to pięć prób oszustwa i pięć aresztowań.

Ostatnia próba miała miejsce w środę, gdy do kobiety zadzwonił fałszywy karabinier, mówiąc, że musi wejść do jej domu, by skontrolować i spisać biżuterię w związku z kradzieżą jej danych w urzędzie gminy i groźbą włamania.

85-latka od razu zorientowała się, że to oszustwo, ale celowo przedłużała rozmowę z przestępcą, podając różne wskazówki i w tym samym czasie wezwała znajomego karabiniera. Jak powiedziała, ma już jego numer telefonu po swoich poprzednich doświadczeniach. Kiedy oszust przyszedł pod jej dom, został aresztowany przez czekający na niego patrol.

Gazeta zaznaczyła, że seniorka dobrze już zna metody oszustów, którzy wcześniej próbowali wyłudzić od niej pieniądze na przykład w związku z rzekomym wypadkiem kogoś z jej rodziny.

– Przestępcy ciągle próbują okraść starsze osoby – powiedziała kobieta, która pięć razy skutecznie zastawiła pułapkę na oszustów.

USA

Trump zapowiada wojnę gospodarczą i izolację Iranu

Anna Nagel

Prezydent USA Donald Trump ogłosił w środę wojnę gospodarczą przeciwko Iranowi. Zapowiedział, że każdy kraj, który pozwala na pomoc Teheranowi, poniesie „ogromne” konsekwencje gospodarcze.

Trump na swojej platformie społecznościowej Truth Social zapowiedział rozpoczęcie „najbardziej dotkliwej operacji gospodarczej”, jaką kiedykolwiek przeprowadzono przeciwko jakiemukolwiek krajowi. „Będzie to wojna gospodarcza i izolacja na niespotykaną dotąd skalę” – napisał prezydent USA.

Groźba sankcji dla krajów pomagających Iranowi

Trump zapowiedział, że konsekwencje poniesie nie tylko Teheran, ale również inne kraje. „Każdy kraj, który pozwoli swoim instytucjom finansowym, przedsiębiorstwom, lotniskom lub podmiotom rządowym udzielać Iranowi jakiegokolwiek rodzaju pomocy, sam poniesie ogromne konsekwencje gospodarcze” – zapowiedział.

Wśród działań, które mają się jak najszybciej zakończyć, prezydent USA wymienił m.in. przemyt ropy, transfery gotówkowe, kantory wymiany walut, rejestry statków i firmy fasadowe. Trump nie sprecyzował jednak, ani o które kraje chodzi, ani jakie restrykcje będą wymierzone.

„Będzie to GOSPODARCZYD-DAY i potrzebujemy, żeby wszyscy nasi sojusznicy stanęli wraz z USA, aby odizolować Iran i pokonać zagrożenie z jego strony” – wezwał Trump.

Uznał, że Irańczycy, których określił jako „szaleńcy”, są pod ścianą. Ocenił też, że ogłoszone przez niego działania „sparaliżują ich oraz ich zdolność do szerzenia terroru na całym świecie”. Wpis zakończył stwierdzeniem, że Iran nigdy nie będzie miał broni nuklearnej.

Iran: to odwrócenie uwagi

Na wpis prezydenta Stanów Zjednoczonych zareagował irański minister spraw zagranicznych Abbas Aragczi. Stwierdził on, że „gospodarczy D-Day”, jakim USA zagroziły Iranowi, to próba odwrócenia uwagi od problemów gospodarczych samych Stanów Zjednoczonych. Ostrzegł, że dalsza presja ze strony Waszyngtonu nie przyniesie rezultatu – przekazał Reuters.

Wstrzymane rozmowy

We wtorek Trump przekazał, że żadne rozmowy z Iranem nie są obecnie prowadzone ani nie ma negocjacji w planach. Według źródła stacji CNN tego dnia Trump miał polecić członkom swojej administracji, by wstrzymali rozmowy ze stroną irańską. Źródła CNN powiadomiły, że polecenie Trumpa skierowane do jego zespołu negocjacyjnego pojawiło się po kilku „pozytywnych rozmowach” z Irańczykami. Jednak Trump wciąż był niezadowolony z tego, że Teheran nie chciał poczynić ustępstw wobec jego żądań.

Według źródeł jeszcze w tym tygodniu USA mogą ogłosić nowe „miażdżące” sankcje na Iran. Trump i jego zespół uważają, że presja gospodarcza na Iran ostatecznie skłoni tamtejszy reżim do zaakceptowania jego warunków zakończenia wojny.

FOT. IMAGO/AARON SCHWARTZ/POOL VIA CNP /MEDIAPUNCH

Donald Trump zapowiedział, że każdy kraj pozwalający na pomoc Iranowi poniesie ogromne konsekwencje gospodarcze

MATERIAŁ INFORMACYJNY ZCK 0011567625

Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziem Górskich w Zakopanem czas zacząć

Są wydarzenia, które wraz z upływem lat stają się nie tylko częścią kalendarza kulturalnego, ale także symbolem miejsca, jego tożsamości i wartości. Do takich bez wątpienia należy Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziem Górskich w Zakopanem – najważniejsze wydarzenie folklorystyczne regionu, jeden z najbardziej prestiżowych góralskich festiwali w Polsce i Europie, a zarazem rozpoznawalna na całym świecie wizytówka Zakopanego.
Od 21 do 27 sierpnia zapraszamy na Dolną Rówień Krupową w Zakopanem. Tam poznamy „Świat góralskich wierzeń – na styku sacrum i magii”.

Wyjątkowa muzyka, taniec, stroje, rzemiosło i gwara
Od dziesięcioleci festiwal pozostaje wierny swojej idei. Choć świat wokół zmienia się niezwykle dynamicznie, a współczesność przynosi nowe wyzwania i nowe formy komunikacji, Zakopane niezmiennie staje się miejscem spotkania kultur górskich z różnych stron globu. To wyjątkowa przestrzeń dialogu tradycji i współczesności, w której najważniejsze pozostają autentyczność, szacunek dla dziedzictwa oraz przekazywanie wartości kolejnym pokoleniom.
Dla Zakopanego kultura rodzima jest czymś więcej niż tylko elementem lokalnej tradycji. To fundament tożsamości miasta, jego rozpoznawalny znak i powód do dumy. Góralska muzyka, taniec, stroje, rzemiosło i gwara od pokoleń budują wyjątkowy charakter stolicy polskich Tatr.

Świat góralskich wierzeń – na styku sacrum i magii
Motywem przewodnim tegorocznej edycji festiwalu, który będzie trwał **od 21 do 27 sierpnia, stał się „Świat góralskich wierzeń – na styku sacrum i magii”**. To fascynująca podróż do świata dawnych wyobrażeń, rytuałów, symboli i wierzeń obecnych w kulturze ludowej od wieków. Góralska tradycja pełna jest opowieści o siłach natury, wierzeń związanych z cyklem życia człowieka, świętami dorocznymi, ochroną domostwa czy przekonaniami dotyczącymi szczęścia i pomyślności.
Nie zabraknie również wydarzeń, które od lat stanowią serce festiwalu. Publiczność będzie mogła uczestniczyć w koncertach konkursowych zespołów folklorystycznych z Polski i świata oraz kibicować uczestnikom Międzynarodowego Konkursu Kapel, Instrumentalistów i Śpiewaków Ludowych. Program wzbogacą koncerty gwiazd, wśród których znajdą się m.in. **Roby Lakatos** oraz **Štefan Štec**, artyści cenieni za niezwykłą umiejętność łączenia tradycji z nowoczesną interpretacją muzyki ludowej.

Serdecznie zapraszamy do Zakopanego od 21 do 27 sierpnia. Przyjdźcie, aby usłyszeć muzykę płynącą prosto z serca gór, odkryć tajemnice dawnych wierzeń i poczuć niezwykłą energię spotkania górali z całego świata.

Organizatorzy: ZAKOPANE
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury - państwowego funduszu celowego
Partner Główny: MAŁOPOLSKA
Partner Strategiczny: TAURON

UKRAINA

Atak Rosji na Kijów. Uderzono w szpital dziecięcy i budynki mieszkalne

Kazimierz Sikorski

Do 12 wzrosła liczba zabitych w nocnych, zmasowanych atakach Rosji na Kijów. Piątek będzie w stolicy Ukrainy dniem żałoby – ogłosił w czwartek mer miasta Witalij Kliczko.

Atak rakietowy i dronów na Kijów miał miejsce tuż po północy 20 sierpnia. Wybuchy spowodowały drżenie domów i uruchomienie alarmów samochodowych – relacjonowała Nadia Pahava z Kyiv Independent, a redaktor naczelna Olga Rudenko dodała, że czuć było silny zapach dymu w centrum Kijowa.

„W tej chwili wiadomo o 12 ludziach, którzy zginęli w Kijowie” – napisał Kliczko w komunikatorze Telegram. „Jutrzejszy dzień, 21 sierpnia, został ogłoszony w Kijowie dniem żałoby. Ku pamięci ofiar zmasowanego ataku wroga na stolicę” – podkreślił.

Kliczko poinformował, że ratownicy usuwają skutki ataku w trzech dzielnicach: Sołomiańskiej, Swiatoszyńskiej i Darnickiej.

FOT. PAP/VLADYSLAV MUSIIENKO

Zniszczenia po zmasowanym nocnym rosyjskim ataku rakietowym na Kijów

Uszkodzony budynek szpitala dziecięcego

W dzielnicy sołomiańskiej gruz runął koło pięciopiętrowego budynku, wybijając okna i powodując pożar. Rakiety uszkodziły też budynek szpitala dziecięcego w tej dzielnicy. W wyniku ataku do szpitali trafiło co najmniej 14 rannych.

W godzinach porannych – w trakcie kolejnej fali ataków – nad miastem unosił się zapach dymu. W pobliskich Browarach, w obwodzie kijowskim, zginął jeden mężczyzna, a drugi został ranny.

Do najnowszego ataku na stolicę dochodzi w czasie, gdy Ukraina zmaga się z niedoborem pocisków przechwytujących do systemów obrony powietrznej Patriot. To jedyna broń zdolna do zwalczania pocisków balistycznych. W ostatnich tygodniach Rosja wykorzystała tę sytuację, zwiększając liczbę pocisków używanych w atakach na ukraińskie miasta, głównie Kijów.

eprasa.pl 9381f2cf8a

Tylko dla orłów? Przebiegł Orlą Perć w godzinę – Str. 22-23

PULS *regionów*

URLOP

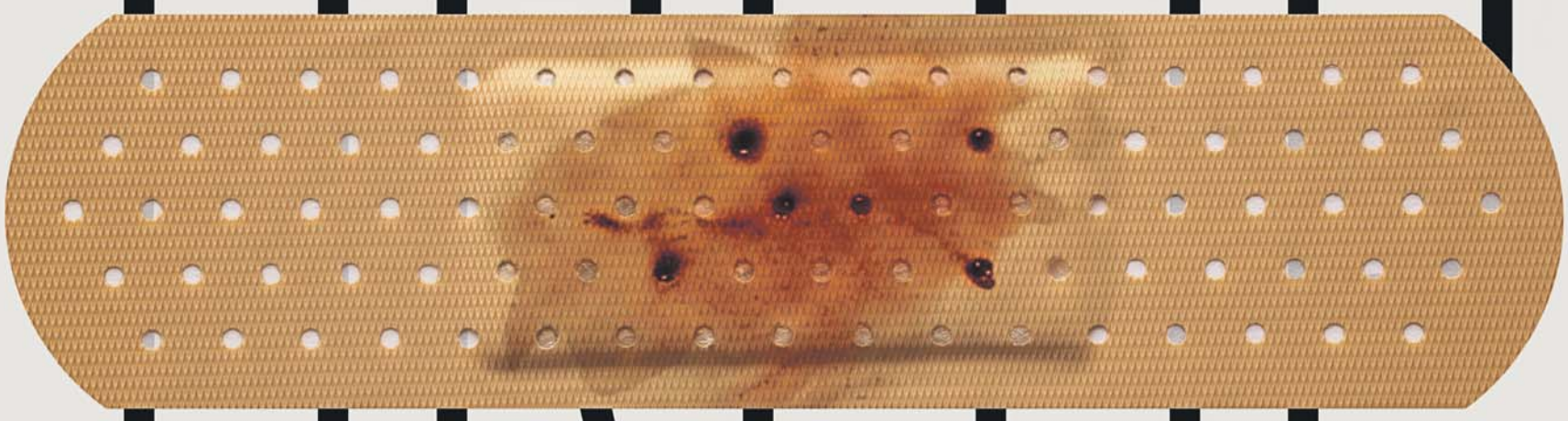

Wakacje podwyższonego ryzyka – Str. 12-13

FOT. BT/GETTY

eprasa.pl 9381f2cf8a

FELIETON

LILIANA SONIK
Publicystka

Skoro nie potrafimy zlikwidować ocieplenia klimatu, warto się dostosować

Idą przez nasze głowy fale pomroczności jasnej. Wykształceni, odpowiedzialni ludzie wpadają w gotowe trajektorie umysłowe i dadzą się pokroić za bzdury. A kiedy rzeczywistość je weryfikuje, sami nie wiemy, dlaczego daliśmy się nabrać.

Jak w przypadku betonowania miejskich rynków, których setki zamieniono w pustynie. Szły na to sowite dotacje, a wójt czy burmistrz nie oprze się pokusie „darmowych" zewnętrznych pieniędzy. I mamy to, co mamy: latem patelnia, zimą ślizgawica. A przecież było łatwo przewidzieć, że się nie sprawdzi. Teraz odbetonowują. W Płocku za prawie 1,5 miliona złotych. Dopłaci Fundusz Rozwoju Regionalnego, czyli my, tylko naokoło. Cieszę się wraz z mieszkańcami miejscowości, do których rozum powrócił, choć przypomina mi to powiedzonko: „Szyje, pruje i z tego się utrzymuje".

A wycinka tysięcy starych, przydrożnych drzew? Żaden argument nie trafiał. Nieraz zabierałam w tej sprawie głos. We Francji, Włoszech czy Austrii aleje starych drzew dają cień, nawet w centrach miast. U nas mówiono, że drzewa są niebezpieczne dla kierowców i przechodniów, bo może spaść konar. Ciekawe, dlaczego gdzie indziej stare drzewa są piękne i pożyteczne, a w Polsce mordercze.

Pomroczność jasna opanowała myślenie o klimacie. Skutki będą poważne. Zaznaczam, że ocieplenie klimatu uznaję za fakt i z tym nie polemizuję. Schody zaczynają się przy metodach działań, które mają nam pomóc w nowych warunkach.

Najgorszą z metod jest budowanie paniki. Tymczasem nieustannie jesteśmy straszeni: „Nadchodzi pogodowy armagedon!"; „To nie koniec upałów!"; „Kataklizm wysokich temperatur!". Przerażeni ludzie drżą na myśl o piekle, jakie nas czeka. Nikt nie konfrontuje alarmów z rzeczywistością, bo wdrukowano nam w głowy, że mamy do czynienia z ekstremalnym żarem. A w lipcu mieliśmy zaledwie kilka upalnych dni, zaś średnia temperatura była niższa od średniej z 30 lat. Po prostu lipiec był chłodniejszy od poprzednich.

A więc nie ma problemu? Niestety, problem jest. I to potężny. W walce z globalnym ociepleniem wybrano nonsensowny front, na którym czeka nas porażka. Całą uwagę zbierały akcje radykalnych klimatystów: przyklejania się do asfaltu, oblewanie farbą oraz medialny jazgot pod hasłem „Planeta płonie!", Słyszałam deklaracje młodych kobiet, uważających, że posiadanie dzieci jest narażaniem niewinnych istot na spłonięcie żywcem (!).

Cała para szła w gwizdek. Deklarowaną i ostro wcielaną w życie ambicją było zatrzymanie ocieplenia w skali globalnej, co nie mogło się udać: nie mamy jeszcze skutecznych po temu narzędzi. Musimy się więc dostosować do nowych warunków, a tu realnych działań brak.

Mając tyle wody, co Egipt, beztrosko betonowaliśmy koryta rzek. Osuszaliśmy bagna i torfowiska, żeby wyrwać grunty pod inwestycje. Gdzie jest państwo? Dlaczego nie ma „instrukcji" dla budujących nowe domy i gmachy publiczne? Na gwałt potrzebne są nowe rozwiązania w skali mikro. To pozwoli zachować komfort życia mimo zmian klimatu. Powstają tysiące gmachów i domów z gigantycznymi oknami w modelu beton + szkło. Fajnie to wygląda, ale w takim domu bez klimatyzacji trudno żyć. Izolacja termiczna w zabudowaniach tego typu pomaga tylko odrobinę. Ogrzewanie i chłodzenie to kosztowna energetyczne rzeźnia. I o tym powinno się stale mówić. Czas sięgnąć po metody stosowane w krajach południa, a dawno temu także w Polsce. Na przykład mniejsze okna z zewnętrznymi okiennicami są tanie i zaskakująco skuteczne. Podobnie jak białe dachy, mechaniczne łamacze światła i naturalna wentylacja mieszkań. Powstające osiedla powinny być budowane tak, by domy cieniowały się nawzajem. Pomaga też roślinność. Oraz nowe materiały budowlane. Proste, skromne, ale skuteczne rozwiązania, o jakich nie myślimy, bo się o nich nie mówi.

To rząd i miasta powinny zapoczątkować zmiany. I to natychmiast.

STOPKLATKA

FOT. PAP/EPA

↑

Wzruszające zdjęcia z kolejnej wymiany jeńców. Tym razem Ukraina i Rosja wymieniły 103 żołnierzy wziętych do niewoli w czasie walk. Ale w tym konflikcie takie chwile odprężenia zdarzają się bardzo rzadko. Cały czas Rosja prowadzi wojnę na wyniszczenie, konsekwentnie bombardując i ostrzeliwując kolejne części Ukrainy. Kijów odpowiada atakami dronowymi

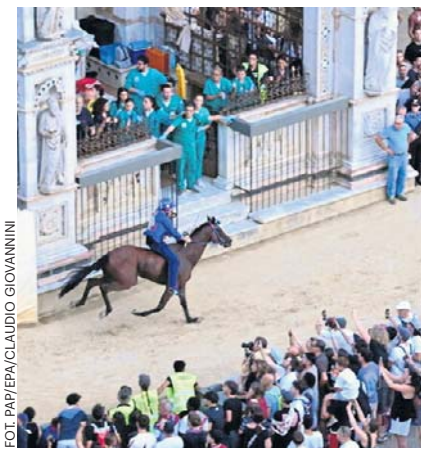

FOT. PAP/EPA/CLAUDIO GIOVANNINI

←

W Sienie odbył się tradycyjnie wyścig konny po głównym rynku miasta Piazza del Campo. Jest organizowany dwa razy do roku od czasów średniowiecza. Tym razem zwyciężył widoczny na zdjęciu Giovanni Atzeni na koniu Anda e Bola

FOT. PAP/GRZEGORZ MOMOT

↑

Tak wygląda gaszenie pożaru za pomocą drona na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego. Na szczęście pożar nie był wielki, wywołało go prawdopodobnie uderzenie pioruna. Strażacy do akcji zaangażowali śmigłowiec, gdyż teren był trudno dostępny. Ale najbardziej skuteczne w akcji okazały się drony. A przy okazji powstały też efektowne zdjęcia

PAP/PAWEŁ SUPERNAK

←

W Płocku rozstawiono baterie systemu rakietowego MIM-104 Patriot. Władysław Kosiniak-Kamysz, wicepremier, szef MON, wskazał je jako przykład budowy wielowarstwowej ochrony kraju i zabezpieczenia najważniejszych obiektów infrastruktury krytycznej. W ten sposób Kosiniak-Kamysz demonstrował, że Polska jest chroniona przed atakami z powietrza

eprasa.pl 9381f2cf8a

MOIM ZDANIEM

MONIKA KACZYŃSKA
z-ca redaktora naczelnego „Głosu Wielkopolskiego”

Zabójcze wakacje, czyli latem ostrożnie z klasykami

Gdy latem śledzi się wiadomości, chciałoby się powtórzyć za Jasiem Fasolą: „Bezczynność gwarancją bezpieczeństwa”. Bo od lat wakacje są czasem niepotrzebnych urlopowych śmierci.

Bieżący tydzień zaczął się od doniesienia o wypadku polskiego autokaru, którym pielgrzymi z Podkarpacia podróżowali z Medjugorje. Na węgierskiej autostradzie autobus wypadł z trasy. Jak dotąd wypadek pochłonął 12 ofiar śmiertelnych.

I choć w Europie miejsc ściągających pielgrzymów nie brakuje (żeby wymienić tylko Fatimę, Lourdes, Santiago de Compostela czy Watykan), we wszystkich można spotkać licznie przybywających Polaków, ale żadne z nich nie ma aż tak tragicznego bilansu. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza na tej trasie zginęło 45 osób, a liczba rannych przekroczyła setkę.

Mimo że wypadki pielgrzymkowych autokarów zdarzały się i na innych trasach (do najtragiczniejszego, który pochłonął 26 ofiar śmiertelnych, doszło w 2007 roku w okolicach Grenoble, w czasie podróży z La Salette), to w czasie powrotów z Medjugorje powtarzają się z przerażającą regularnością.

I nic do rzeczy nie mają tu kwestie nadprzyrodzone. W tych ziemskich jednak rysuje się pewien schemat. Program wszystkich tych pielgrzymek z tragicznym finałem był niemal jednakowy: wyjazd wieczorem, cała noc jazdy, by rano znaleźć się na miejscu, dzień modlitwy i zwiedzania, czasem nocleg, modlitwa i kolejna nocna podróż.

Dlaczego? Bo tak taniej (30-40 euro na dodatkowy nocleg oraz ewentualnie śniadanie to dla niejednego pielgrzyma kwota nieobojętna). Wszak z Rzeszowa do Mjedjugorie jest zaledwie około 200 kilometrów dalej niż z Przemyśla do Szczecina. Któż, podróżując po Polsce, zatrzymuje się na tranzytowy nocleg? Przy dwóch kierowcach kilkanaście godzin jazdy nie wydaje się szczególnym wyzwaniem. I faktycznie, w przytłaczającej większości przypadków się udaje. Tyle że te, w których coś pójdzie nie tak, rujnują życie całych rodzin.

A to przecież tylko znikoma część urlopowych tragedii. Już pierwszy ciepły weekend przynosi wieści o pierwszych utonięciach – według policyjnych statystyk w tym sezonie (od 1 czerwca do 18 lipca) w Polsce w ten sposób zginęło już 139 osób. Przyczyny? Co roku te same : brawura i alkohol. Zaś większość ofiar utonięć to młodzi mężczyźni, którym i z jednym, i z drugim często bywa po drodze.

Do tego dochodzą śmiertelne wypadki w górach – w jeden weekend na przełomie lipca i sierpnia straciły życie cztery osoby. Kolejne tygodnie podniosły liczbę ofiar do 17. A przecież sierpień, który na górskich szlakach zasłużenie uchodzi za czarny miesiąc, jeszcze się nie skończył. Nie, nie upadki z Orlej Perci (choć i takie były). Ot, potknięcie się na nie aż tak trudnym szlaku, które skończyło się upadkiem w przepaść czy zawały serca na niemal spacerowych trasach, które w upale okazały się wyzwaniem ponad siły.

Jeśli doliczymy 232 ofiary śmiertelne wypadków drogowych w całym kraju, bez żadnej przesady można powiedzieć, że wakacji nie przeżyła cała, wcale nie najmniejsza wieś.

I choć oszołomieni letnim słońcem i wszechogarniającą zielenią od wiosny niemal podśpiewujemy za klasykiem „mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił”, na lato zmieńmy zestaw lektur. Czego nie przeżyjemy w te wakacje, będziemy mogli przeżyć za rok. Bo najpewniej wciąż tu będziemy.

MONIKA.KACZYNSKA@POLSKAPRESS.PL

ZAPISKI FRAKCJI PRZYTOMNYCH

ADAM BUŁA
szef newsroomu centralnego

Obrona Monte del Presidente. O bolszewickim duchu buszującym w pałacu

Zaliczyłem ostatnio zmasowany nalot „prawdziwych Polaków” na konto w jednym z serwisów społecznościowych. Powód? – opinia, że prezydent Nawrocki powinien być wyśmiewany za swoją wpadkę z „obrońcami Monte Cassino” tak długo, aż jego otoczenie zachowa się przyzwoicie. Daremne nadzieje, próżny trud... Prawdziwy bolszewik nie przyznaje się do błędu nigdy i nigdzie.

Dlaczego od razu bolszewik? – spytacie. Może dlatego, że chwilę później pojawiła się informacja o śmierci Wandy Traczyk-Stawskiej i nikt z pałacu – od prezydenta, przez jego ministrów, po rzecznika rządu – nie zdobył się na słowo pożegnania. Bo to był „nie ich” powstaniec warszawski. A takie milczenie, równe w sumie wymazywaniu pamięci, zawsze najbardziej kojarzyć mi się będzie z bolszewickim duchem.

Wróćmy do wpadki prezydenta z przemówienia w Święto Wojska Polskiego. Jego przejęzyczenie było tak oczywiste, że po prostu nie ma o czym mówić. Niezręczne może dodatkowo, bo ostatecznie padło z ust historyka, ale to nadal nie jest żaden temat. Więc odstawmy na bok tych „patriotów”, którzy od kilku dni tłumaczą mi, że przecież Polacy po zdobyciu ruin klasztoru przez jakiś czas zabezpieczali teren i bronili się przed niemieckimi kontratakami – a więc... bronili Monte Cassino, ergo nieomylny Nawrocki miał rację.

Problemem bowiem nie jest to, za co ktoś skrytykuje prezydenta lub jego otoczenie, tylko sam fakt ośmielenia się na podniesienia ręki na Wodza prawdziwych patriotów, stalinowego – sorry, przejęzyczenie – stalowego Karola.

Bo w świecie prawego patrioty (i, dla porządku, równie zacietrzewionej części wyznawców drugiej strony barykady) nic nie dzieje się przypadkiem. Dlatego kiedy minister Barbara Nowacka zaliczała rok wcześniej słynną wpadkę z „polskimi nazistami” budującymi obozy śmierci, to nie było przejęzyczenie. To było świadome narzucanie lewicowej narracji o naszym współudziale w Holokauście, czego koronnym dowodem jest to, że swoje wystąpienie Nowacka miała spisane na kartce, a nie mówiła z głowy, jak Nawrocki.

Zostawmy i tych paranoików. Bo dla mnie ważniejszą różnicą między wpadkami tych polityków jest prosty fakt, że Nowacka na drugi dzień po wystąpieniu solennie swoją wypowiedź sprostowała i za nią przeprosiła, a u prezydenta śladu takiej reakcji nie ma.

No ale to nadal jest temat niewart, w sumie wart zachodu – taki prezydencki styl i tyle. Dla mnie temat zrobił się dopiero wtedy, gdy na oficjalnej stronie Kancelarii Prezydenta RP pojawiła się oficjalna transkrypcja przemówienia prezydenta na państwowej uroczystości. A tam, bez żadnej adnotacji, po prostu poprawiono wypowiedź Karola Nawrockiego. „Obrona Monte Cassino” zniknęła, pan prezydent powiedział „o tych, którzy walczyli pod Monte Cassino”.

Dalej powiecie, że drobiazg. No już nie. Jeśli kancelaria za blisko 400 milionów złotych rocznie tak frywolnie sfałszuje oficjalny dokument, to dlaczego mam zakładać, że zachowa się profesjonalnie i uczciwie przy jakimkolwiek innym dokumencie?

Najbardziej jednak zatrważającym jest fakt, że nie mam pewności, czy oni tam w ogóle mają świadomość i kompetencje, żeby zrozumieć, co w istocie czynią. Może nie rozumieją, że brak w tej transkrypcji malutkiej gwiazdki, informującej o skorygowaniu oczywistego przejęzyczenia prezydenta, to nie jest jakaś tam malutka gwiazdka. To wielka i bijąca po oczach bolszewicka gwiazda ich mentalności.

ADAM.BUŁA@POLSKAPRESS.PL

Wołodymyr Zełenski, prezydent Ukrainy: „Niestety, podczas gdy Moskwa inwestuje w rakiety balistyczne i eskalację, świat nie zawsze reaguje na takie ataki w odpowiedni sposób”

FOT. PAP/EPA/MAXYM MARUSENKO

eprasa.pl 9381f2cf8a

TEMAT TYGODNIA

FOT. PAP/EPA/GEORGE VITSARAS

Seria pożarów w Europie Południowo-Zachodniej okazała się dla wielu problemem przy planowaniu i spędzaniu wakacji (na zdjęciu pożar lasu na wyspie Salamina w Grecji)

Kiedy urlop zamienia się w koszmar

Wybuchy wulkanów paraliżujące ruch lotniczy, pożary lasów w turystycznych kurortach, wypadki autokarów pełnych ludzi – czasami wymarzone wakacje nie przebiegają tak, jakbyśmy tego chcieli. Bywa, że z powodów od nas niezależnych, ale często na nasze własne życzenie

Dorota Kowalska

To była zgrana paczka znajomych, wszyscy pochodzili z Podkarpacia. Już wcześniej jeździli ze sobą na pielgrzymki: znali się, lubili, zawsze było o czym pogadać, z kim się pośmiać. W niedzielę wracali do domów z Medjugorie. Byli na miejscu kilka dni, wypoczywali. Do przejechania zostało im około trzystu kilometrów. W środku nocy na węgierskiej autostradzie między Budapesztem a Miszkolcem ich autokar zjechał do rowu.

- Rozmawiałam przez telefon z Polską, z koleżanką, i nagle: „Bum". Autobus się przewrócił, przekoziołkował. Uderzyłam głową, ale byłam na tyle przytomna, że widziałam, co się stało. Wszystkie siedzenia były powyrywane, ludzie byli pod fotelami. Wszyscy krzyczeli: „ratunku" - powiedziała w rozmowie z dziennikarzami TVN24 pani Helena.

Ma pękniętą kość ramienia, połamane żebra, uszkodzony kręgosłup.

- Autobus przewrócił się raz, potem drugi. Zdążyłam się czegoś przytrzymać, ale siedzenie zostało wyrwane razem z całą konstrukcją, trzymałam się tej ramy. W środku było ciemno, nic nie było widać. To jest nie do wyobrażenia widzieć, jak ten autobus wyglądał od środka - relacjonowała.

Wszędzie szkło z powybijanych szyb, powyrywane siedzenia autokaru.

- Swoją siostrę wyciągnęłam za nogi. Powiedziałam jej: „Ty ratuj się rękami, a ja będę cię wyciągać za nogi". Pomogłam też wydostać jednego mężczyznę. Przeciągnęłam go za nogi, ale tylko kawałek. Później pomogli już strażacy - opowiadała ocalała z wypadku.

Ludzie byli poprzygniatani fotelami. Krzyki, jęki, wołanie o pomoc. Ci, którzy byli w stanie, pomagali ciężej rannym. Na miejscu szybko pojawili się strażacy, lekarze, policja, ale też mieszkający na Węgrzech Polacy.

Bilans wypadku – tragiczny. W pojeździe było 59 osób - 57 pasażerów i dwóch kierowców. Zginęło 12 osób, 10 w stanie ciężkim przewieziono do szpitali. Część z poszkodowanych wróciła już do Polski. Sprawę badają śledczy. Kierowca, który prowadził autobus, został tymczasowo aresztowany na 30 dni, prawdopodobnie zasnął za kierownicą. Ale on też jest ofiarą.

- Szkoda tego człowieka. Rozmawiałem z ludźmi, nikt nie ma do niego pretensji - mówił w rozmowie z TVN24 drugi z kierowców. I dodał, że mężczyzna był „nad podziw rzetelny, uczciwy, uczynny".

Nie pierwszy taki wypadek

Na drogach podczas wakacji giną turyści, pielgrzymi, uczestnicy kolonijnych wycieczek. W sierpniu 2022 roku na autostradzie A4 na północ od stolicy Chorwacji jadący w kierunku Zagrzebia autobus zjechał z drogi i wpadł do rowu przy autostradzie. W wypadku, podobnie jak teraz na Węgrzech, zginęło 12 osób, 32 zostały ranne. Wszystkimi ofiarami byli Polacy, którzy pielgrzymowali do Medjugorje.

Ksiądz Rafał Działak z parafii w Koninie był jednym z poszkodowanych.

Nie spał od godz. 3.15. Siedział w jednym z przedostatnich rzędów, obserwował wszystko, co dzieje się na drodze. Na granicy z Chorwacją czekali jakieś 20 minut, była kontrola paszportowa. Pan Paweł, z którym duchowny mieszkał w jednym pokoju, zauważył, że za przejściem granicznym kierowcy zatrzymali autokar i wymienili się miejscami. I potem to się stało.

– Autokar bez żadnego gwałtownego ruchu zjechał na prawą stronę. Ja, siedząc w przedostatnim rzędzie, byłem przerażony, że wjeżdżamy w pole. Nie widziałem, że w poprzek jest wybetonowany rów. Z prędkością 100 km/h na godzinę, bez hamowania, uderzyliśmy w ten betonowy bok rowu. Byłem gdzieś w dziurze, przygnieciony przez innego człowieka. On się wydostał i ja wtedy też się wydostałem. Zobaczyłem, że cały autokar jest zmasakrowany, wszyscy są pościskani, wszystkie fotele są praktycznie powyrywane, oprócz ostatniego rzędu. To było przerażające – opowiadał potem w mediach ksiądz Rafał Działak. - Pan Paweł mówił mi, że w pewnym momencie usłyszał coś jakby wystrzał koła. Powiedział: jakby autobus złapał kapcia. Dla mnie to byłoby jakieś wyjaśnienie tego, dlaczego autobus nagle zjechał z prostej drogi - relacjonował duchowny.

W autokarze w momencie wypadku wyrwane zostały wszystkie siedzenia. Telefony, torebki, podręczny bagaż „fruwały" w powietrzu.

Ksiądz zdążył udzielić rozgrzeszenia umierającym, pomagał udzielić pomocy osobom przygniecionym przez boczne drzwi.

– To było przedziwne, bo oni siedzieli w trzecim rzędzie od końca, a przesunęło ich o kilka metrów. Jak to się stało, to jest niepojęte – wspominał.

Inny uczestnik wypadku, Paweł Drozdowski miał złamaną nogę. Przeszedł operację. Pomyślał: kierowca złapał gumę. Słyszał stuki. Autobus nagle się zatrzymał, a on wyleciał na zewnątrz. Po chwili

eprasa.pl 9381f2cf8a

obudził się i popatrzył, co się dzieje. Jak wspominał, na miejscu pojawiały się kolejno służby drogowe, karetki i straż pożarna. – To było straszne. Człowiek nigdy nie widział czegoś takiego. Przeżyć coś takiego i wylecieć przez szybę... Miałem całą twarz we krwi, było pełno krwi i szkła – opowiadał. – Tam były straszne jęki. Wszyscy przygnieceni przez fotele. Nie wszystkich dało się wyciągnąć, trzeba było rozcinać wrak – dodał.

W listopadzie 2021 roku na autostradzie Struma w południowo-zachodniej Bułgarii zapalił się autobus. W pożarze zginęło 45 osób — w tym 12 przewożonych dzieci. Ofiarami byli w większości turyści, którzy wracali do Skopje z wycieczki do Stambułu.

Najtragiczniejsza katastrofa polskiego autokaru wydarzyła się we Francji w niedzielę 22 lipca 2007 roku w Vizille. To też była pielgrzymka. W wypadku zginęło 26 osób. W tej sprawie prowadzono aż dwa śledztwa. Sprawę badała prokuratura w Grenoble, w Polsce Prokuratura Okręgowa w Szczecinie. W obu przypadkach umorzono postępowania. Uznano, że za wypadek odpowiada kierowca prowadzący autokar, który zginął w katastrofie. Polska prokuratura dodatkowo stwierdziła, że prowadzący pojazd miał krótki staż zawodowy (był zmiennikiem bardziej doświadczonego kierowcy), w związku z czym w krytycznym momencie użył niewłaściwego hamulca. Zamiast włączyć hydrauliczny retarder, skorzystał wyłącznie z hamulca głównego, co spowodowało jego uszkodzenie.

4 lipca 2019 roku autokar wiozący turystów do Włoch miał wypadek w Górnej Austrii. Zginęły dwie osoby, a pięć innych zostało poważnie rannych.

Kilka dni później, 14 lipca autobus jadący do Bułgarii z dziećmi na kolonie miał poważny wypadek w pobliżu rumuńskiej miejscowości Deva, ok. 400 km od Bukaresztu. Zginęło sześć osób, w tym pięcioro dzieci.

2003 roku w Egipcie podczas dachowania autokaru zginęło sześciu polskich turystów. Wracali do Hurghady z wycieczki do Kairu. Żaden z nich nie spodziewał się tragedii.

Płoną turystyczne kurorty

Nie tylko wypadki autobusów zamieniają nasze wakacje w piekło. Czerwiec i lipiec 2026 roku przyniosły najcieplejszy początek lata, jaki kiedykolwiek odnotowano w Europie Zachodniej. Rekordowym temperaturom towarzyszyły kolejne fale upałów, rozległa susza i poważne pożary. Płonęły lasy we Włoszech, Hiszpanii, Francji, Grecji, Chorwacji.

W piątek wieczorem 7 sierpnia, niebo nad Olzano, miejscowością należącą do gminy Tignale nad jeziorem Garda we Włoszech, było czerwone — potężny pożar wybuchł w dużym kompleksie leśnym powyżej brzegu jeziora.

W sobotę sytuacja wciąż była bardzo zła. Nad regionem unosiły się gęste kłęby dymu, widoczne z odległości wielu kilometrów nad jeziorem.

- Właśnie wracaliśmy z pizzerii i chcieliśmy wrócić do hotelu. Wtedy zobaczyliśmy, że po drugiej stronie jeziora, około 10 km od nas, płonie góra. Widok był groźny. Dziś rano nad wodą krążyły samoloty gaśnicze - opisywał reporter Alex Hermann z Berlina.

Burmistrz Tignale Daniele Bonassi mówił włoskim mediom o „przerażających scenach" - płomienie pochłaniały drzewa i poszycie leśne.

Setki turystów w pośpiechu pakowało swoje rzeczy i w środku nocy uciekało na ulice. Domy wakacyjne i hotele trzeba było ewakuować.

25 lipca na lotnisku Chopina w Warszawie wylądował samolot z pasażerami z greckiej wyspy Rodos. To byli turyści, którzy z wyspy uciekli przed pożarem. W tym czasie we wschodnich częściach Grecji temperatura sięgała nawet 45 stopni Celsjusza.

- Było tragicznie. Ludzie uciekali i szli po kilkanaście kilometrów na piechotę w pełnym słońcu, bez wody, całymi rodzinami, z dziećmi. Kiedy dotarli do hotelu, w którym przebywałem, to otrzymali pomoc. Potem zapaliła się kolejna wyspa Korfu i trzeba było uciekać – opowiadał dziennikarzom na lotnisku pan Tomasz, potem dodał, że osoby, które dotarły do hotelu, mówiły, że „nikt ich nie informował, co się dzieje, co mają robić i gdzie szukać pomocy".

- Jednak lokalni mieszkańcy bardzo pomagali. Były kremy na słońce, dla dzieci pieluchy, mleko. Podobnie było na lotnisku, gdzie nadal jest masa ludzi i mam nadzieję, że wrócą bezpiecznie do kraju – mówił.

Pan Michał na wakacje na Rodos pojechał z całą rodziną oraz znajomymi.

- Dzięki Bogu jesteśmy już w domu. Biuro podróży, które nas tam wysłało, nie odbierało telefonu, a kiedy w końcu udało nam się tam dodzwonić, to powiedzieli, że jesteśmy teraz pod opieką rządu greckiego – wspomniał w rozmowie z reporterem TVN24.

Trafili do centrum pomocy zorganizowanego w hali sportowej. Mieszkańcy wyspy przywozili im jedzenie, materace, zabawki dla dzieci.

- Bardzo bałem się paniki, która mogłaby wybuchnąć, ale nic takiego się nie stało. Najgorszy okazał się jednak dym, który nas przyduszał - mówił. I opowiadał, że ludzie, którzy szli kilkanaście kilometrów plażą do bezpieczniejszego miejsca, porzucali swoje walizki, aby było im lżej iść.

Pożar na Rodos doprowadził do największej ewakuacji w historii Grecji. Ludzie z wyspy uciekali samolotami i łodziami.

Uciekali też z kurortów we Francji, Hiszpanii, a ostatnio w Chorwacji. Podobnie było rok temu, wtedy też pożary trawiły Europę, a zwłaszcza jej południe – najbardziej latem oblegane przez turystów.

Etna sparaliżowała Sycylię

W sierpniu ekstremalne upały utrudniały życie mieszkańcom Sycylii i turystom, którzy postanowili właśnie tu spędzić swoje wakacje. Ale to wybuch Etny, jednego z najbardziej aktywnych wulkanów na świecie, sparaliżował życie tego regionu. Na lotnisku w Katanii wstrzymano wszystkie przyloty i odloty. Utknęli na nim turyści. Jednym z nich jest pan Dawid, który napisał na Kontakt24 i relacjonował, co dzieje się na miejscu.

- Lotnisko w Katanii jest cały czas zamknięte, wszystkie loty zostały odwołane. Nie ma na razie informacji, kiedy ruch zostanie wznowiony. Problemy dotyczą również transportu drogowego. W okolicy jest bardzo dużo pożarów, autostrady są poblokowane. Sytuacja jest dość ciężka - opowiadał.

Lot pana Dawida przekierowano do oddalonego o ponad 200 km Palermo. Trudno się było tam dostać, bo wszyscy ruszyli w tym kierunku.

- Pilot na nas nie poczekał, wyleciał praktycznie z pustym samolotem. Znajdowało się tam może z 10 do 15 osób. Reszta z nas koczowała pod bramkami i nie wiedzieliśmy, co mamy robić. Nie dało się połączyć z przewoźnikiem – podsumował Polak.

Lot pani Gabrieli również został odwołany, dopiero o godz. 22.00 dowiedziała się, że mają lecieć o 1.45 w nocy z Palermo. Jak opisywała w rozmowie z serwisem Fly4free, na lotnisku w Katanii usłyszała, że Wizz Air nie zapewni transportu zastępczego. Razem z innymi turystkami wzięły taksówkę, za którą zapłaciły 1000 euro, jednak na miejsce dotarły na 7 minut przed planowanym odlotem. Za późno. Musiała dalej koczować w Palermo.

Osiem dni zamknięcia lotniska w Katanii kosztowało sycylijską branżę turystyczną około 22 milionów euro. W tym czasie odwołano 684 loty, utrudnienia dotknęły 104 tysięcy pasażerów. Większość z nich to turyści, którzy pojechali na wymarzone wakacje.

Woda powinna budzić respekt

Nie trzeba wyruszyć za granicę, żeby urlop skończył się dla nas tragicznie. Statystyka utonięć stale rośnie - według najnowszych danych od początku czerwca w rzekach, jeziorach, nad morzem - zginęło w Polsce 114 osób.

Nie dalej jak w miniony poniedziałek, podczas kąpieli na plaży wschodniej w Darłówku dwoje plażowiczów zostało porwanych przez silny prąd wodny. Na miejsce natychmiast skierowano ratowników Brzegowej Stacji Ratowniczej w Darłowie.

„Śmiertelny finał kąpieli w Darłówku. Dziś w rejonie Darłówka prowadzono akcję ratowniczą dotyczącą dwóch plażowiczów, którzy podczas kąpieli w morzu zostali porwani przez prąd. Do działań skierowano ratowników Brzegowej Stacji Ratowniczej w Darłowie, jednostki ratownicze R-17 i R-26 oraz pojazd ratowniczy Land Rover BSR Darłowo. Obie osoby zostały odnalezione i wydobyte z wody. U jednej z nich nasi ratownicy rozpoczęli resuscytację krążeniowo-oddechową. O godz. 19:16 na miejsce przybył śmigłowiec Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, którego załoga przejęła prowadzenie RKO. Nasi ratownicy pozostali na miejscu, wspierając działania LPR. Niestety, pomimo prowadzonej resuscytacji, o godz. 20:04 lekarz LPR stwierdził zgon poszkodowanego" – podano w komunikacie zamieszczonym na Facebooku.

Dzisiaj wiadomo, że mężczyzna, który utonął w Bałtyku, to proboszcz parafii w Lęborku, ksiądz Rafał Cieszyński.

Na początku sierpnia trzech nastolatków postanowiło odpocząć na niestrzeżonej plaży nad Jeziorem Durowskim w Wągrowcu (woj. wielkopolskie). Jeden z nich stwierdził, że nie umie pływać i nie będzie wchodził do wody. Dwóch pozostałych weszło do jeziora. W pewnym momencie jeden z chłopców zniknął pod wodą. Drugi pospieszył mu na ratunek, ale również nie wypłynął na powierzchnię. Młodzi ludzie zostali wyłowieni przez zespół nurków. Nie dawali znaku życia, nie udało się ich uratować.

Takie historie zdarzają się na całym świecie. W tym tygodniu brytyjskie media żyją dramatem, jaki rozegrał się na plaży w Shoreham-by-Sea w południowej Anglii. Świadkowie relacjonowali, że najpierw w wodzie bawiła się dwójka dzieci. Możliwe, że zaplątały się w sieć rybacką, więc na pomoc ruszyli im rodzice, którzy bez wahania wskoczyli do wód Kanału La Manche. Rybacy zauważyli bezradną rodzinę, która nie potrafiła wyjść z wody i zaalarmowali służby. Te natychmiast pojawiły się na miejscu i rozpoczęli akcję ratunkową. Utonęli ojciec, matka i nastoletnia dziewczyna, drugie dziecko walczy o życie w szpitalu. Cała czwórka przyjechała do Shoreham-by-Sea na swój wakacyjny urlop.

Ważny zdrowy rozsądek

W czasie wakacji, podczas urlopów, mamy więcej czasu, chętniej korzystamy z rozrywek. Nie zawsze zachowujemy przy tym rozsądek.

Do końca lipca zginęło już tylu użytkowników hulajnóg elektrycznych, co przez cały ubiegły rok – w sumie 11 osób.

W sierpniu na warszawskiej Woli 15-latka wiozła na hulajnodze elektrycznej 13-letnią koleżankę. Obie jechały bez kasków, obie były pod wpływem alkoholu. Po uderzeniu w znak drogowy upadły na jezdnię, a młodsza trafiła do szpitala.

W minioną niedzielę na drodze wojewódzkiej nr 241 z Wągrowca w kierunku Bydgoszczy policjanci zauważył nastolatka na hulajnodze elektrycznej. Młodzieniec jechał bez kasku ochronnego po trasie, na której obowiązuje limit prędkości do 90 km/h. Podczas kontroli okazało się, że 15-latek nie posiadał również wymaganych dokumentów uprawniających go do kierowania tego typu pojazdem. Gdy na miejscu pojawiła się matka chłopaka, mundurowi zapytali ją, czy ten posiada zwykły rower.

- Nie po to syn dostał hulajnogę elektryczną, żeby jeździł rowerem – odparła zbulwersowana.

W tym przypadku zabrakło refleksji i wyobraźni. Brakuje ich również tym, którzy chcą zabłysnąć w sieci. „Journal of Travel Medicine" wyliczył, że w latach 2009-2022 doszło do 379 zgonów związanych z robieniem sobie zdjęć na potrzeby social mediów. Nie są to jednak kompletne dane. Wielu przypadków tego typu śmierci po prostu się nie odnotowuje. Ludzie spadają z klifów, skał, mostów, bo chcieli na Instagrama wrzucić wakacyjne „selfie".

Przykłady? Są ich setki. 23-letnia Polka zmarła w Sewilli po tym, jak spadła z wysokości siedmiu metrów z bulwaru nad rzeką Gwadalkiwir. Straciła równowagę, robiąc „selfie" z widocznym w tle pięknie oświetlonym mostem. W październiku 2021 roku 72-letni turysta, spacerując Doliną Chochołowską w Tatrach, napotkał niedźwiedzia, z którym chciał sobie zrobić zdjęcie. Podszedł zbyt blisko drapieżnika, został ugryziony w nogę. Na szczęście zwierzę na tym poprzestało.

Cóż, czasami wymarzone wakacje nie przebiegają tak, jakbyśmy tego chcieli. Zdarza się, że nie mamy na to wpływu. Trudno przecież przewidzieć pożar, powódź, czy erupcję wulkanu. W takich wypadkach najlepiej zachować zimną krew i zdrowy rozsądek. Zawsze, nawet wtedy, kiedy czujemy się bezpieczni, warto wykazać się odrobiną wyobraźni i liczyć siły na zamiary.

eprasa.pl 9381f2cf8a

PASJA

Historia ukryta na samym dnie morza. Do wraków nurkują najodważniejsi

O niezwykłej pasji rozmawiamy z Piotrem Wytykowskim, Łodzianinem od lat mieszkającym w USA, który w lipcu odnalazł na Bałtyku wrak U-Boota i był pierwszą osobą, która po 73 latach od zatonięcia dotknęła kadłuba ORP Kujawiak, który zatonął w 1942 r. po przeprowadzeniu konwoju na Maltę

Liliana Bogusiak-Jóźwiak

Zawsze interesowałeś się historią, ale poszukiwanie wraków to pójście znacznie dalej w tych zainteresowaniach...

Nasza przygoda z wrakami nie zaczęła się od razu. Po latach nurkowania typowo rekreacyjnego i podziwiania kolorowych raf koralowych wspólnie ze starym przyjacielem z Łodzi, Romkiem Zajderem, doszliśmy do wniosku, że pora na większe emocje i prawdziwe spotkanie z historią, która rzeczywiście jest naszą drugą wielką pasją. Zacząłem intensywnie zgłębiać temat wraków oraz niezwykłych, często tragicznych losów, które doprowadziły je na morskie dno.

Wspólnie z Romkiem Zajderem w 2012 roku założyliśmy Stowarzyszenie Wyprawy Wrakowe i od tego momentu nasza pasja weszła na nowe tory – zajęliśmy się na poważnie poszukiwaniem i identyfikacją wraków.

Poszukiwanie wraków odbywa się dwutorowo i w naszych działaniach stosujemy obie te metody. Pierwsza polega na tym, że najpierw trafiamy na ślad jednostki w archiwalnych dokumentach, a dopiero potem ruszamy w morze, by odnaleźć ją na dnie. Druga sytuacja ma miejsce wtedy, gdy najpierw lokalizujemy nieznany obiekt, a następnie spędzamy długie miesiące w archiwach, aby go zidentyfikować. Odkrywanie wraków przypomina pracę detektywa – wymaga poświęcenia lat na analizowanie tysięcy dokumentów, by wreszcie osiągnąć cel. Niejednokrotnie poszukiwane obiekty spoczywają w otchłani, zapomniane przez całe dekady, a nawet wieki.

Również w 2012 roku zorganizowaliśmy ekspedycję pod patronatem The Explorers Club w Nowym Jorku do egzotycznego Sierra Leone, gdzie badaliśmy XVIII-wieczny wrak żaglowca. Dwie wyprawy oraz wiele godzin spędzonych w holenderskich archiwach zaowocowały i w 2014 roku zidentyfikowaliśmy odnalezioną przez nasze stowarzyszenie jednostkę. Okazało się, że uzbrojony w 28 żeliwnych dział statek należał do Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej (VOC), zatonął w 1747 roku i nazywał się Diemermeer. Co ciekawe, kapitan tej jednostki urodził się w dzisiejszym Kołobrzegu.

Łodzianie Piotr Wytykowski i Roman Zajder z dzwonem wydobytym z ORP Kujawiak

W muzeum na Malcie znajduje się wydobyty przez was dzwon z polskiego niszczyciela ORP Kujawiak, a w ogrodach Barrakka ufundowana przez was tablica pamiątkowa. Czy to prawda, że byłeś pierwszą osobą, która po 73 latach od zatonięcie dotknęła kadłuba ORP Kujawiak?

W 2014 roku zorganizowaliśmy ekspedycję na Maltę, której celem było odnalezienie wraku polskiego niszczyciela eskortowego ORP Kujawiak. W piątym dniu poszukiwań zlokalizowaliśmy wrak leżący na głębokości 100 metrów – to wysokość trzech dziesięciopiętrowych wieżowców postawionych jeden na drugim. W 2015 roku powróciliśmy tam na wyprawę eksploracyjną. Tak, byłem pierwszym Polakiem, który po 73 latach od zatonięcia dotknął kadłuba „Kujawiaka".

Jakie konsekwencje dla nurka ma schodzenie na głębokość 100 metrów?

Nurkowanie na takiej głębokości jest niezwykle niebezpieczne. Dwadzieścia minut eksploracji było okupione ponad trzygodzinną dekompresją. Proces ten można najprościej porównać do wstrząśniętej butelki wody gazowanej – aby nie wykipiała, trzeba odkręcać ją bardzo powoli. Podobna reakcja zachodzi we krwi i tkankach nurka. Każdy problem pod wodą trzeba rozwiązać na miejscu, bo gwałtowne wyjście na powierzchnię oznacza śmierć. Nasze stowarzyszenie upamiętniło poległych trzynastu marynarzy, fundując i odsłaniając tablicę pamiątkową w The Upper Barrakka Gardens w Valletcie. W 2016 roku odnaleźliśmy okrętowy dzwon, a w 2017 roku wydobyliśmy go na powierzchnię. Dziś można go podziwiać w Narodowym Muzeum Morskim na Malcie.

W 2018 roku w ramach Projektu Brindisi we Włoszech poszukiwaliśmy wraków polskich i amerykańskich samolotów bombowych, które w 1944 roku niosły pomoc walczącej Warszawie.

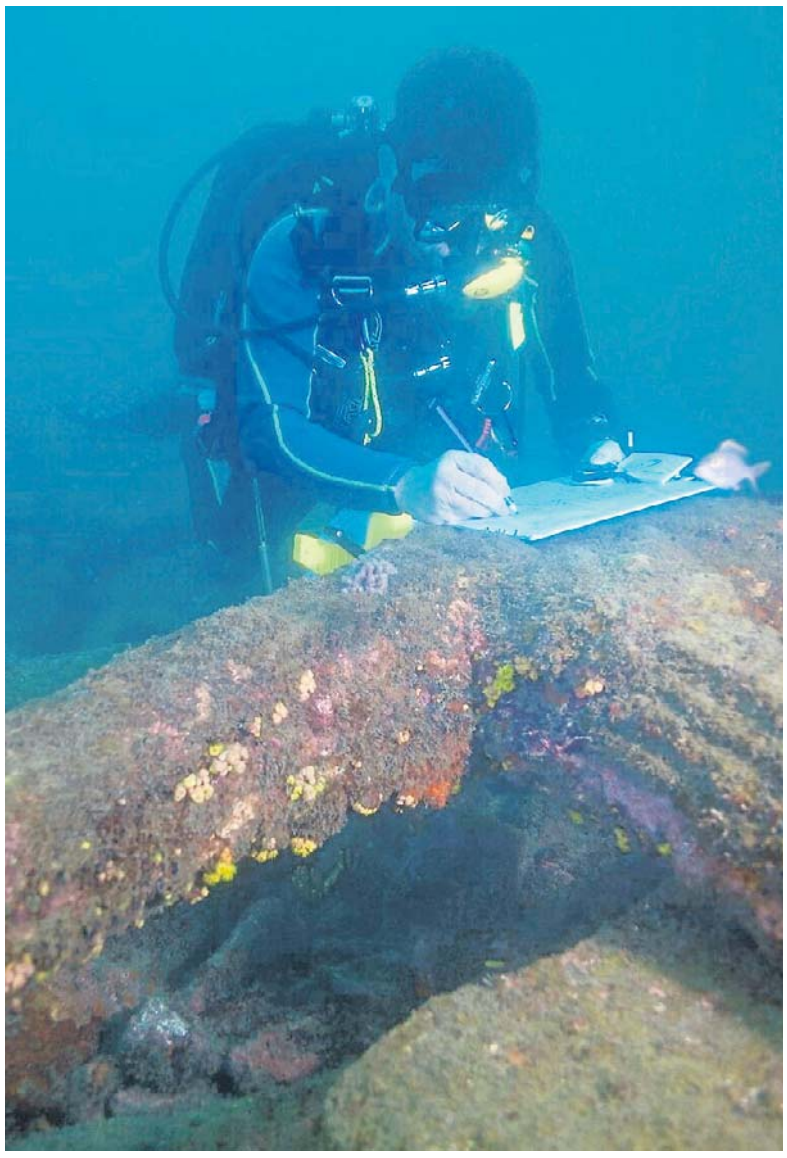

Piotr Wytykowski jest członkiem Stowarzyszenia Wyprawy Wrakowe

Z kolei po latach badań i weryfikacji archiwów z całego świata zorganizowaliśmy w 2022 roku autorską ekspedycję na Morze Północne, by szukać legendarnego okrętu podwodnego ORP Orzeł. Przeszukaliśmy sonarem ponad 400 kilometrów kwadratowych morza. To tak, jakby całą powierzchnię Krakowa przejechać dokładnie kosiarką do trawy. Na Morze Północne wracaliśmy jeszcze dwukrotnie. Choć „Orzeł" wciąż pozostaje w ukryciu, nie poddajemy się i wierzymy, że przyjdzie dzień, w którym ta największa tajemnica polskiej marynarki wojennej zostanie rozwiązana.

W lipcu odnieśliście kolejny sukces – odnaleźliście okręt podwodny, który zatonął po kolizji z inną jednostką. Łódź podwodna stała się grobem dla całej załogi. Jak się postępuje w takich przypadkach?

Na Bałtyku, około 50 mil morskich od Ustki, odnaleźliśmy wrak niemieckiego okrętu podwodnego U-583. Był to jeden z ostatnich nieodnalezionych U-Bootów w tych wodach. Zatonął w wyniku kolizji z inną jednostką i stał się grobem dla całej, 45-osobowej załogi. Takie wraki to mogiły wojenne, które traktujemy z najwyższym szacunkiem i należytą powagą.

eprasa.pl 9381f2cf8a

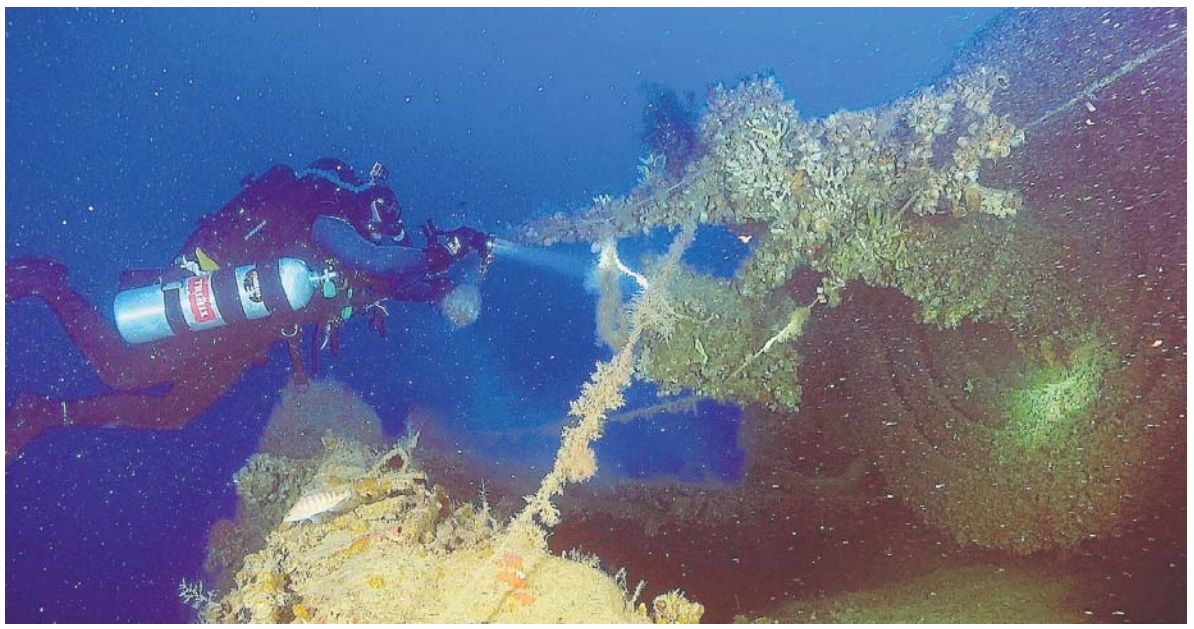

Nurkowie schodzą do wraków na głębokość 30-40 metrów

Uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej w stolicy Malty

Czy członkowie Stowarzyszenia Wyprawy Wrakowe to wyłącznie Polacy?

Stowarzyszenie Wyprawy Wrakowe zrzesza bezinteresownych pasjonatów, których łączy wspólna wizja przywracania pamięci o statkach i okrętach stanowiących białe plamy w historii. Członkami naszej grupy są zarówno Polacy, jak i obywatele Stanów Zjednoczonych.

Niestety, pasja, która nas pochłania, należy do wyjątkowo kosztownych. Wszystkie projekty i ekspedycje finansujemy wyłącznie z prywatnych środków oraz dobrowolnych wpłat członków stowarzyszenia. Brak stałego sponsora i ograniczone fundusze siłą rzeczy obniżają nasz potencjał, choć pomysłów nam nie brakuje. Na naszym celowniku znajduje się jeszcze wiele słynnych i niezwykle interesujących wraków, które – miejmy nadzieję – uda nam się wkrótce odnaleźć.

Czy wrócicie na Bałtyk jeszcze we wrześniu?

Bałtyk jest dla nas wyjątkowym akwenem, a ostatnie odnalezienie w lipcu wraku U-583 tylko potwierdziło, jak wielki drzemie w nim potencjał. Jeśli tylko warunki pogodowe oraz budżet na to pozwolą, powrót na te wody jeszcze przed końcem sezonu jest jak najbardziej w naszych planach.

PIOTR WYTYKOWSKI

Łodzianin Piotr Wytykowski ma 58 lat. Od 30 lat mieszka w USA. Zajmuje się renowacją antyków, a jego pasją jest historia i poszukiwanie wraków. Jest współautorem książki „U-Booty Hitlera w Ameryce Południowej. Prawdziwa Historia" w wersji polskiej i angielskiej. Za działalność wzmacniającą pozycję Polski na arenie międzynarodowej w 2022 roku otrzymał Odznakę Honorową „BENE MERITO". Nurkował do wraków niemal całego świata.

AUTOREKLAMA
0311563968

zawody rowerkowe
Kraków
29.
SIERPNIA 2026
od 9.30
Małopolskie Centrum Nauki Cogiteon w Krakowie

Ekscytująca przygoda na dwóch kółkach!

ZAPISZ SWOJE DZIECKO

na zawody rowerkowe w Krakowie dla dzieci w wieku 3-9 lat.

Poza sportową rywalizacją czeka na Was piknik Bezpieczna Rodzina z mnóstwem atrakcji

Wejdź na **www.gazetakrakowska.pl/rowerkikrakow** lub skorzystaj z QR kodu i wypełnij formularz zgłoszeniowy.

PATRONAT HONOROWY: Wojewoda Małopolski Krzysztof Jan Klęczar; Łukasz Smółka Marszałek Województwa Małopolskiego; Małopolska
ORGANIZATOR: Gazeta Krakowska; Małopolskie Centrum Nauki Cogiteon
PARTNER STRATEGICZNY: Małopolska; Velo Małopolska Sieć Tras Rowerowych
PARTNER GŁÓWNY: Wodociągi Miasta Krakowa; W Krakowie Dobra Woda prosto z kranu; Terma Bania
PARTNER WSPIERAJĄCY: 40 lat; Subaru; Zarząd Transportu Publicznego w Krakowie
PARTNERZY: PZU; Subaru; Oshee; Ale Frajda; Nowy Wiśnicz; Szubryt; Samoczesny Maluch; Wiśnicz; Borek; Serenada; Góralki
OFICJALNY PRODUCENT MEDALI: modern forms

eprasa.pl 9381f2cf8a

KULTURA

„Dekalog”. Historie o ludzkich wyborach

To bez dwóch zdań ukoronowanie twórczości Krzysztofa Kieślowskiego. Każdy z dziesięciu filmów cyklu opowiada o zwykłych ludziach, którzy stają przed trudnymi wyborami moralnymi, życiowymi i rodzinnymi, a każda z historii nawiązuje do jednego z Dziesięciu Przykazań, ukazując je jednak w sposób nieoczywisty i osadzony we współczesnych realiach. W tym roku minie 37 lat od premiery pierwszego odcinka z serii „Dekalog”.

Wojciech Obremski

Na pomysł „Dekalogu” wpadł Krzysztof Piesiewicz, prawnik, polityk i scenarzysta, a było to jeszcze w 1983 roku, w czasie stanu wojennego. Podczas przechadzki z reżyserem Krzysztofem Kieślowskim powiedział: – Słuchaj, jest chaos, ludzie są zagubieni, nie wiedzą, w jakim kierunku iść. Tylu wierzących, a i niewierzących zbiera się w kościołach, jedynej przestrzeni, gdzie mogą się gromadzić publicznie i czują się wolni. Trzeba zrobić „Dekalog” – opowiadał Piesiewicz na łamach magazynu „Film”.

Początkowo Kieślowski podchodził do tego projektu z rezerwą. Jednak po nieprzychylnym przyjęciu filmu „Bez końca” (ukazującego Polskę w okresie stanu wojennego), zarówno przez władze komunistyczne, jak i środowiska związane z opozycją solidarnościową, reżyser ostatecznie zdecydował się przyjąć propozycję Piesiewicza. Wspólnie z nim napisał scenariusz, a potem stanął za kamerą.

FOT. MARY EVANS/ALL FILM ARCHIVE/NEW YORKER/EAST NEWS

„Dekalog” stał się jednym z najważniejszych dzieł w karierze Krzysztofa Kieślowskiego. Zwłaszcza „Krótki film o zabijaniu” zdobył bardzo duży rozgłos – także w Europie Zachodniej

Z własnych doświadczeń i wspomnień

– Po „Bez końca” chcieliśmy radykalnie zerwać ze wszystkim, co ma związek z polityką, i skoncentrować się w scenariuszach na indywidualnych, uwarunkowanych psychologicznie zachowaniach ludzkich. I to nie bez przyczyny. Mieliśmy dość połajanek (...). Wiedziałem, że po roku od zamordowania księdza Jerzego Popiełuszki nadszedł odpowiedni moment – wspominał reżyser w książce Krzysztofa Piesiewicza i Mikołaja Jazdona „Kieślowski. Od »Bez końca« do końca”.

Początkowo Kieślowski wraz z Piesiewiczem zamierzał stworzyć jedynie scenariusz, który następnie zostałby przekazany dziesięciu początkującym reżyserom. Jeszcze na wczesnym etapie prac ustalili, że wszystkie historie będą rozgrywać się na jednym z warszawskich osiedli z wielopiętrowymi blokami.

Nad scenariuszem pracowali wspólnie w mieszkaniu Piesiewicza przy ulicy Klaudyny. Adwokat czerpał pomysły z własnych doświadczeń zawodowych, obserwacji, anegdot, wyobraźni, a także wspomnień z dzieciństwa. Kieślowski i Piesiewicz przedstawili te uniwersalne problemy w taki sposób, by mogły zainteresować każdego widza – niezależnie od jego światopoglądu, wiary czy przekonań religijnych.

Tajemniczy facet w czerni

Cykl trudno jednoznacznie określić mianem klasycznego serialu – poszczególne, trwające mniej więcej godzinę opowieści nie tworzą jednej, ciągłej fabuły, a w każdym odcinku poznajemy innych bohaterów i ich problemy. Łączy je jednak miejsce akcji – wspomniane ogromne osiedle mieszkaniowe, pełne niemal identycznych bloków i niewielkich mieszkań. To właśnie w tych przestrzeniach rozgrywają się zarówno codzienne, pozornie błahe sytuacje, jak i poważne ludzkie dramaty.

Kieślowski unikał bezpośredniego pouczania i oceniania swoich bohaterów. Zamiast tego przedstawiał ich w trudnych sytuacjach, w których każda podjęta decyzja wiązała się z określonymi konsekwencjami. Ukazywał codzienne problemy i dramaty zwykłych ludzi – nauczyciela, lekarza czy dziecka – pozostawiając widzowi możliwość samodzielnej oceny ich postępowania.

Jednym z najbardziej charakterystycznych motywów „Dekalogu” jest tajemnicza postać grana przez Artura Barcisia, pojawiająca się znienacka w różnych wcieleniach – rowerzysty, motorniczego tramwaju, studenta na wykładzie czy robotnika. Mężczyzna jawi się jako obserwator wydarzeń, przyglądający się decyzjom i działaniom głównych bohaterów. Są oni często postawieni w sytuacjach, w których przekraczają moralne granice wyznaczone przez Dziesięć Przykazań i muszą zmierzyć się z konsekwencjami swoich wyborów.

Pomysł tej postaci podsunął pisarz i publicysta Witold Zalewski, który opowiedział Kieślowskiemu historię związaną z Wilhelmem Machem, prozaikiem, eseistą i krytykiem literackim. Mach, po obejrzeniu jednego z filmów, miał stwierdzić, że najbardziej zapadła mu w pamięć scena pogrzebu, w której, gdzieś w tle, zauważył mężczyznę ubranego w czarny garnitur. Co ciekawe, pozostali widzowie nie dostrzegli tej postaci. Historia ta zainspirowała Kieślowskiego do stworzenia bohatera, który pojawia się w różnych momentach „Dekalogu”, pozostając niemal niezauważony przez innych.

A może również w kinach?

Prace nad scenariuszem trwały ponad rok. Jesienią 1986 roku gotowe teksty dziesięciu odcinków trafiły do Telewizji Polskiej, gdzie spotkały się w większości z pozytywnym odbiorem decydentów.

W styczniu 1987 roku Janusz Roszkowski, prezes Telewizji Polskiej i przewodniczący Komitetu do spraw Radia i Telewizji, wyraził zgodę na rozpoczęcie realizacji „Dekalogu”. Twórcy dowiedzieli się jednak, że z powodu trudnej sytuacji telewizja jest w stanie dofinansować jedynie osiem z planowanych dziesięciu filmów.

Krzysztof Zanussi, dyrektor artystyczny Zespołu Filmowego „Tor”, który miał cykl wyprodukować, zaproponował, aby część odcinków zrealizować w dwóch wersjach – telewizyjnej i kinowej. Filmy przeznaczone do dystrybucji kinowej miały trafić również za granicę, co mogłoby przyciągnąć zagranicznych inwestorów i pomóc w zdobyciu dodatkowych środków na produkcję całej serii.

Ostatecznie udało się uzyskać środki na powstanie dwóch obrazów: „Krótkiego filmu o zabijaniu” oraz „Krótkiego filmu o miłości” (były to nieco dłuższe wersje odpowiednio „Dekalogu V” oraz „Dekalogu VI”, które weszły na ekrany kin w 1988 roku).

Międzynarodowe uznanie

W końcu Kieślowski podjął decyzję, że sam wyreżyseruje wszystkie dziesięć części „Dekalogu”, jednak przy realizacji poszczególnych odcinków współpracował z różnymi operatorami. „Dekalog I” telewizja wyemitowała w grudniu 1989 roku, zaś na kolejne części przyszło czekać widzom do maja roku następnego.

Tworzenie całego cyklu odbywało się w trudnych i wymagających warunkach. Kieślowski poświęcał na pracę nad zdjęciami i montażem „Dekalogu” nawet 13–14 godzin dziennie. Tymczasem środki przeznaczone na produkcję zaczynały się wyczerpywać. Krzysztof Zanussi udał się więc do Europy Zachodniej w poszukiwaniu dodatkowego źródła finansowania, jednak kolejne osoby i instytucje, w tym mediolańska wytwórnia Sao Paolo, nie zdecydowały się wesprzeć projektu.

Ostatecznie pomoc finansową zaoferował berliński producent Manfred Durmiok z wytwórni Sender Freies. Dzięki jego wsparciu możliwe było ukończenie wszystkich dziesięciu części „Dekalogu”. Całkowity budżet cyklu szacowano na około 100 tysięcy dolarów.

Muzykę do „Dekalogu” skomponował Zbigniew Preisner. Ścieżka dźwiękowa po raz pierwszy została wydana w 1991 roku we Francji pod tytułem „Les Dix Commandements. Le Décalogue”. Rok później album ukazał się również w Polsce nakładem Kompanii Muzycznej Pomaton, tym razem jako „Dekalog. Muzyka filmowa”. Płyta doczekała się także kolejnych wydań i wznowień, między innymi we Francji i Wielkiej Brytanii, gdzie cykl cieszył się ogromną popularnością. We wrześniu 1989 roku cykl był prezentowany w kinach poza konkursem głównym na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji, gdzie spotkał się z wielkim uznaniem.

I nic dziwnego: „Dekalog” to nie tylko znakomity scenariusz, reżyseria i muzyka, ale i aktorstwo – na ekranie widzimy kwiat polskich wykonawców, zaś wśród najważniejszych można wymienić: Krystynę Jandę, Janusza Gajosa, Jerzego Stuhra, Zbigniewa Zamachowskiego, Bogusława Lindę, Daniela Olbrychskiego i wielu innych.

„Dekalog” stał się jednym z najważniejszych dzieł w karierze Krzysztofa Kieślowskiego. Sukces jego oryginalnego spojrzenia na temat Dziesięciu Przykazań umocnił pozycję reżysera na arenie międzynarodowej, szczególnie w Europie Zachodniej. Pokazom kinowym cyklu często towarzyszyły również retrospektywy wcześniejszych filmów Kieślowskiego, co dodatkowo przyczyniło się do wzrostu zainteresowania jego twórczością.

„Dekalog” nie mówi widzowi wprost, kto ma rację – skłania go raczej do samodzielnego zastanowienia się, co jest dobre, a co złe. To właśnie otwartość na różne interpretacje sprawia, że cykl pozostaje aktualny i poruszający mimo upływu lat.

eprasa.pl 9381f2cf8a

LUDZIE

Dwie siostry, jedna niezwykła historia

Ich historia przed laty poruszyła całą Polskę. Daria i Olga Kołacz przyszły na świat jako bliźniaczki syjamskie, zrośnięte w dolnym odcinku kręgosłupa

Barbara Galas

FOT. BARBARA GALAS

Daria i Olga Kołacz z Janikowa przyjechały do Rzeszowa w roli ambasadorek fundacji ALAMEEN

Dziś są dorosłymi, samodzielnymi kobietami. Studiują, pracują, rozwijają pasje i angażują się w projekty społeczne.

Do Rzeszowa przyjechały podczas dwunastej już akcji pomocy kobietom i dzieciom z Ukrainy, które w rosyjskich atakach straciły kończyny. Do tej pory w ramach przedsięwzięcia wykonano już ponad 300 protez. Koszty wykonania protez, a także pobytu pacjentów w Rzeszowie, pokrywa Fundacja Opieki nad Ofiarami Wojny i Katastrof ALAMEEN, działająca dzięki wsparciu króla Salmana z Arabii Saudyjskiej.

Jeździła po Polsce, szukała lekarzy

Daria i Olga urodziły się 8 października 2003 roku w Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi. Były bliźniaczkami syjamskimi, zrośniętymi w dolnym odcinku kręgosłupa. Ich mama, Wiesława Dąbrowska, dowiedziała się o tym, że urodzi bliźnięta syjamskie, dopiero w 32. tygodniu ciąży.

- To był szok i niedowierzanie. Ale nie było już czasu na zastanawianie się, rozpamiętywanie czy pytanie, dlaczego właśnie my. Trzeba było po prostu działać - wspomina dziś pani Wiesława.

Zaczęła się walka. Mama jeździła po Polsce, szukała lekarzy, konsultacji i specjalistów, którzy mogliby podjąć się rozdzielenia córek. Każda kolejna rozmowa dawała nadzieję, ale jednocześnie przypominała, jak trudna będzie to droga.

W tym samym czasie do działania przystąpił bratanek pani Wiesławy. W internecie, po angielsku, opisał historię dziewczynek. I właśnie ta internetowa wiadomość dotarła do Arabii Saudyjskiej, do lekarzy pracujących w jednym z tamtejszych szpitali. Historia bliźniaczek trafiła następnie do członków saudyjskiej rodziny królewskiej. Wtedy wydarzyło się coś, czego rodzina Kołaczów się nie spodziewała. Padła propozycja, że w całości pokryje koszty operacji ówczesny następca tronu, późniejszy król Abdullah bin Abdulaziz Al Saud.

Bez wahania

3 stycznia 2005 roku w Rijadzie rozpoczęła się wieloetapowa operacja rozdzielenia Darii i Olgi. Zabieg trwał 18 godzin. Kierował nim dr Abdullah Al-Rabeeah, a w operacji uczestniczyło około 50 lekarzy i specjalistów.

Była to operacja niezwykle skomplikowana i obarczona ogromnym ryzykiem. Dla rodziny dziewczynek były to godziny pełne napięcia, strachu i nadziei. A potem przyszła wiadomość, na którą wszyscy czekali. Operacja się udała. Dziewczynki zostały rozdzielone. Dla ich mamy oznaczało to początek zupełnie nowego życia.

- Po rozdzieleniu była przede wszystkim radość i szczęście. Każda matka cieszyłaby się, że operacja się udała i wszystko poszło pomyślnie - wspomina pani Wiesława.

Dziewczynki nie wróciły jednak od razu do Polski. W Arabii Saudyjskiej czekała je jeszcze trzymiesięczna rehabilitacja.

- Doprowadzono je tam do takiego stanu, że kiedy wróciłyśmy do Polski, już raczkowały - wspomina pani Wiesława.

Powrót do Polski nie oznaczał końca tej historii. Wręcz przeciwnie. Arabia Saudyjska stała się drugim domem. Po operacji rodzina regularnie wracała do Rijadu na kontrole. Lekarze, którzy zajmowali się dziewczynkami jako małymi dziećmi, nadal interesowali się ich losem. Analizowali wyniki badań i obserwowali ich rozwój. Dla rodziny Kołaczów Arabia Saudyjska przestała być po prostu miejscem, w którym odbyła się operacja. Stała się częścią ich życia.

- Od tamtego czasu regularnie latamy tam na kontrole. Wszystkie badania są przekazywane lekarzom w Arabii Saudyjskiej, oni je przeglądają i sprawdzają. Dla nas Arabia Saudyjska to drugi dom. Traktują nas jak rodzinę, a my ich również traktujemy jak rodzinę - mówi Wiesława Dąbrowska. Dziś, po ponad 21 latach od operacji, ta więź wciąż jest żywa.

Dwie siostry, dwa charaktery

Daria i Olga nie mogą pamiętać samej operacji. Były wtedy bardzo małe. Historię własnego życia poznawały stopniowo - ze zdjęć, nagrań telewizyjnych, opowieści rodziców i materiałów prasowych.

- Właściwie dowiedziałyśmy się o tym ze zdjęć. Później były programy telewizyjne, media, przyjeżdżali dziennikarze. Tak naprawdę historia naszego życia była wokół nas i z czasem coraz bardziej zaczęłyśmy ją poznawać - mówi Daria.

Dziś trudno patrzeć na Darię i Olgę wyłącznie przez pryzmat ich historii medycznej. Są przede wszystkim dwiema dorosłymi kobietami. Samodzielnymi. Aktywnymi. Mającymi własne zainteresowania i plany. Choć wyglądają niemal identycznie, ich mama od początku podkreślała, że charakter mają zupełnie różny.

- Olga jest bardziej uparta i wojownicza. Daria jest spokojniejsza i bardziej wrażliwa. Każda ma inne upodobania i zainteresowania. Każda chodzi swoją drogą - mówi pani Wiesława.

Siostry tylko to potwierdzają. - Właściwie nasze charaktery są bardzo różne. Tak samo jak zainteresowania - mówi Olga.

Dziewczynki, o których kiedyś mówiła cała Polska, dorosły. Dziś studiują, pracują i rozwijają swoje zainteresowania. Angażują się również w projekty społeczne i występują jako ambasadorki dialogu międzykulturowego.

- Bardzo lubimy latać do Arabii Saudyjskiej. Podoba nam się tam właściwie wszystko - mówi Daria.

Po chwili obie wskazują na coś, co szczególnie zapadło im w pamięć. Życzliwość. - Zawsze witają nas bardzo serdecznie. Naprawdę nie możemy powiedzieć o nich nic złego - dodaje Olga.

Więź z Arabią Saudyjską jest dla sióstr tak ważna, że od pewnego czasu uczą się również języka arabskiego. Operacja uratowała im życie, ale nie sprawiła, że wszystkie problemy zniknęły. Siostry wymagają rehabilitacji i muszą uważać na kręgosłup. Nie traktują jednak swoich ograniczeń jako granicy, której nie można przekroczyć. - Rehabilitację cały czas mamy i musimy mieć. Ale staramy się żyć normalnie, tak jak inni ludzie - mówi Daria. -Mamy pewne ograniczenia związane z kręgosłupem, ale staramy się nimi nie przejmować i nie pozwalać, żeby nas ograniczały bardziej, niż jest to konieczne - dodaje Olga.

„Dzięki niemu możemy żyć osobno"

Kiedy pytamy je o człowieka, który przed laty sfinansował ich operację, w głosie pojawia się wdzięczność. Daria i Olga wiedzą, że bez tej pomocy ich życie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej.

- Czujemy się wyróżnione, bo przecież nie zdarza się codziennie, żeby spotkać człowieka, który podjął decyzję o sfinansowaniu takiej operacji. Jesteśmy mu bardzo wdzięczne. Nie wiadomo, jak wyglądałoby nasze życie, gdyby wtedy nie otrzymałyśmy tej pomocy - mówi Daria.

Dziewczyny przyjechały do Rzeszowskich Zakładów Ortopedycznych, gdzie trwa już dwunasta akcja pomocowa. To właśnie tutaj polscy i saudyjscy specjaliści wspólnie wykonują protezy dla osób poszkodowanych w wyniku wojny w Ukrainie, a także dla tych, którzy urodzili się bez kończyn.

Dla Darii i Olgi to spotkanie ma również osobiste znaczenie. Od lat współpracują z saudyjską fundacją i dobrze znają osoby zaangażowane w jej działalność. Ich obecność w Rzeszowie była więc symbolicznym spotkaniem dwóch historii - tej, która ponad 21 lat temu dała im szansę na życie osobno, oraz tej, która dziś pomaga kolejnym potrzebującym odzyskać sprawność i nadzieję.

©℗

eprasa.pl 9381f2cf8a

PASJE

Bargiel: Nie chcę być ani bohaterem, ani ryzykantem. Kocham góry, ale umiem im powiedzieć „nie”

Kiedy wrócił po wejściu i zjeździe na nartach z K2, mówił o nim cały świat. Ojciec zapytał tylko, czy skończył już tę wycieczkę, bo trzeba zebrać słomę. Andrzej Bargiel mówi o domu, który chroni go przed ciężarem własnej legendy

Anita Czupryn

Co trzeba mieć w sobie, żeby stanąć na Mount Evereście – na dachu świata, a potem przypiąć narty i ruszyć w dół?

Trzeba mieć determinację, ale też ciekawość tego, czego chcemy spróbować. To ona motywowała mnie, żeby mimo nieudanych prób wracać. Jest w tym poznawanie siebie, obcowanie z przyrodą i próba jej zrozumienia. Wybrałem się w Himalaje jesienią, kiedy nie było tam nikogo. To zupełnie inny wymiar działalności niż ten, który znamy z zatłoczonych obrazków. Spadło dużo śniegu, nie było śladów po poprzednikach. Wszystko było czyste, dzikie. To wielki przywilej, że mogłem zobaczyć Everest właśnie taki wyjątkowy, niezniszczony przez tłum.

Teraz w czerwcu działał pan na Nanga Parbat. Czego nie widać na filmie, kiedy człowiek rusza na nartach ze szczytu ośmiotysięcznika?

Trzeba być świadomym tego, co się robi, i mieć precyzyjny plan. Na filmie nie widać zagrożeń. Problemem nie jest tylko stromizna i znalezienie linii, która przeprowadzi nas ze szczyty do bazy. Trzeba brać pod uwagę lawiny, jakość śniegu, pogodę. Nie widać też wieloletniej pracy, treningów i doświadczeń, dzięki którym stajemy się samodzielni. Nikt nie podejmuje tam za nas decyzji. Sami musimy rozumieć sytuację i na bieżąco rozwiązywać problemy.

Inni na szczycie Himalajów pomyśleliby: „Udało się”, a pan wtedy przypina narty. Co w takim momencie dzieje się w głowie?

Sam zjazd jest nagrodą za wielogodzinną wspinaczkę. Lubię to robić. To ogromna przyjemność. Jestem w wyjątkowym miejscu, bardzo wysoko, w trudnym środowisku, ale potrafię jeździć na nartach i to działa. Największa satysfakcja przychodzi po kilku godzinach, kiedy docieram do bazy i uświadamiam sobie, że jeszcze chwilę temu byłem tak wysoko.

Z Mount Everestu zjechał pan bez dodatkowego tlenu jako pierwszy człowiek na świecie. Z Nanga Parbat dokonał pan pierwszego pełnego zjazdu do końca warunków śniegowych. Który zjazd bardziej pana przestraszył?

FOT. BARTŁOMIEJ PAWLIKOWSKI / RED BULL

Andrzej Bargiel: Trzeba być bardzo świadomym tego, co się robi, i mieć precyzyjny plan. Na filmie nie widać zagrożeń

W górach ryzyko wyznaczają warunki, nie trudność techniczna. Ludziom może się wydawać, że na Kasprowym Wierchu zawsze jest bezpiecznie, a na pionowej ścianie zawsze niebezpiecznie. Tymczasem przy dobrych warunkach i odpowiednim poziomie sportowym działalność na trudnej ścianie może być relatywnie bezpieczna. Każda góra stawia inne wyzwania. Everest był trudny, bo pojechaliśmy jesienią, bez innych ekip, więc cała praca spadła na nasz zespół. Musieliśmy być samodzielni. Na Nanga Parbat wyzwaniem był zjazd drogą Messnera, której od lat siedemdziesiątych nie powtórzono. Ja pokonywałem ją na nartach. To lodowcowa, skomplikowana ściana, prawie cztery kilometry w pionie. Trzeba ją poznać, zrozumieć i na tyle, na ile to możliwe, wykluczyć zagrożenia. Na K2 z kolei powstała właściwie nowa linia. Te ściany są tak wielkie, że wymagają całkowitego zaangażowania. Za każdym razem to warunki rozdają karty.

Na szczycie jest czas, by się zachwycić? Czy myśli pan tylko: „Muszę zjechać”?

Jest czas na zachwyt. Bez niego to wszystko pewnie nie miałoby sensu. To przecież nie jest pójście na siłownię. Musi istnieć coś, co przykrywa wszystkie niedogodności. Wręcz trzeba zaprzyjaźnić się z przyrodą, zrozumieć ją, zbliżyć się do niej, umieć odnajdywać momenty, w których działanie staje się możliwe. To bezpośrednie połączenie z naturą jest jednym z największych walorów tego, co robimy. Ważny jest też spokój. W górach go odnajduję.

Człowiek, któremu w głowie bez przerwy gra radio, byłby w stanie znaleźć się w takiej sytuacji i przeżyć?

Nie wiem. Ja raczej jestem spokojny i w trudnych momentach nie panikuję. Odpala mi się naturalny mechanizm i od razu przechodzę do działania. Ten spokój mi pomaga. Nie boję się ciszy ani działania w pojedynkę.

Pamięta pan pierwszą myśl po bezpiecznym zjeździe z Nanga Parbat?

Po kilku tygodniach wyprawy człowiek chce wrócić do domu. Tęskni za rodziną i normalnym życiem, za tym, żeby zobaczyć najbliższych, zjeść coś zwyczajnego, wyspać się we własnym łóżku. Surowe miejsca uświadamiają mi wartość tego, co mamy tutaj. Po wyprawie bardziej doceniam proste rzeczy.

Za jakim jedzeniem pan tęskni?

W Zakopanem, pod Nosalem, jest restauracja U Ryśka. Mają tradycyjne polskie jedzenie, na przykład przepyszne schabowe. Zawsze mam ochotę na takie proste rzeczy. Wracając z lotniska, jedziemy też do rodzinnego domu w Łętowni, bo leży po drodze między Krakowem a Zakopanem.

Był pan dziewiątym z jedenaściorga dzieci. Jakim pan był dzieckiem?

Szukałem własnej przestrzeni i sport był właśnie taką przestrzenią tylko moją. Dobrze się czułem, trenując, biegając, jeżdżąc na nartach. Byłem aktywny, ale też niełatwy. Zawsze robiłem wszystko pod prąd. Pewnie dlatego zajmuję się tym, czym się zajmuję, bo gdybym podchodził do wszystkiego racjonalnie, nic z tego, co zrobiłem, by się nie wydarzyło. Byłem też wrażliwy i zawsze starałem się być pomocny. Środowisko, w którym dorastałem, duża rodzina i to, że w życiu bywało trudno, nauczyły mnie dzielić się swoim szczęściem. To ważna wartość.

W domu częściej słyszał pan: „Uważaj” czy „Idź, poradzisz sobie”?

Było nas tak dużo, że rodzice starali się eliminować wszystko, co mogło oznaczać zagrożenie albo kłopoty. Nie mieli też dla nas zbyt wiele czasu, więc trochę wychowywaliśmy się sami. O sport nie pytałem. Kiedy pojawiała się możliwość, po prostu to robiłem. Sportu nie traktowało się u nas w domu poważnie. Rodzice pchali nas raczej w stronę rzeczy racjonalnych, które pozwolą się utrzymać i bezpiecznie żyć. To, czym dzisiaj się zajmuję, z ich ówczesnego punktu widzenia było irracjonalne. Każde z nas musiało walczyć o swoje, bo rodzice bali się ryzyka i tego, czego nie znali.

Jakie było pana dzieciństwo w Łętowni?

Zawsze były zwierzęta. Wypasaliśmy krowy, graliśmy w karty, chodziliśmy na grzyby. Kiedy miałem parę lat, chodziłem na nie sam. Zbierałem tylko te z gąbką, nie z blaszkami, bo te zawsze były do wyrzucenia. Sami organizowaliśmy sobie czas. Praca była priorytetem, obowiązki trzeba było wykonać, bo nikt nie mógł zrobić ich za nas. Ale to było naturalne i harmonijne, połączone z przygodą. Życie miało swoje powtarzalne cykle. Dzisiaj wszystko pędzi, bez przerwy musimy decydować i działać pod presją. Dlatego lubiłem wracać na wieś, do miejsca, w którym nic się nie zmieniało. Do pewnego momentu mój operator telefoniczny nie miał tam nawet zasięgu. W domu zawsze panował kult pracy. Kiedy wróciłem po udanym zjeździe z K2, o którym mówiły media na całym świecie, tata zapytał, czy skończyłem już tę wycieczkę, bo jest dużo roboty i potrzebuje pomocy. Prosto z lotniska pojechaliśmy na pole zbierać słomę. To jest fajne: możesz wrócić do domu i nie ma znaczenia, że czegoś dokonałeś. Nadal jesteś tą samą osobą. Lubię to, bo na koniec robimy różne rzeczy, ale pozostajemy tymi samymi ludźmi.

Pierwsze narty zdobył pan jako dziesięciolatek. Oddał za nie paletki do ping-ponga i scyzoryk. Co zobaczył pan w tych długich, drewnianych deskach?

Chciałem jeździć z kolegami, którzy mieli narty, a ja biegałem za nimi z sankami. W pewnym momencie poczułem, że muszę sobie zorganizować sprzęt. To były stare narty skokowe, miały chyba dwa i pół metra. Przyciąłem je ręczną piłą do drewna i przestawiłem wiązania. Buty, które zdobyłem, miały rozmiar 45 albo 46, a byłem małym dzieciakiem.

Ale to nie miało znaczenia. Nie interesowało nas, czy coś jest odpowiednie, modne, najnowsze. Liczyło się, że możemy to robić. Nie porównywaliśmy się. To była czysta, naturalna i autentyczna radość.

Jako dzieci budowaliście skocznie i szukaliście własnych tras. Zjazdy z ośmiotysięczników są kontynuacją tamtych zabaw?

W pewnym sensie wróciłem do korzeni, zajmując się skialpinizmem. Wtedy nie wiedziałem, że tak się to nazywa. Nosiliśmy narty, bo nie mieliśmy infrastruktury. Robiliśmy wszystko w analogowym stylu. Właśnie wtedy zaraziłem się pasją. Z dzisiejszej perspektywy tamten okres okazał się bardzo ważny.

eprasa.pl 9381f2cf8a

Kto pierwszy zrozumiał, że to nie jest dziecięca fanaberia?

Mój brat Grzegorz pokazał mi ten sport. Jest ratownikiem i przewodnikiem. Miałem dużo szczęścia, bo dzięki niemu dorastałem w środowisku górskim, wśród ratowników, mogłem się od nich uczyć i od razu wejść na wysoki poziom.

Kiedy pomyślał pan po raz pierwszy: „Naprawdę jestem w tym dobry”?

Kiedy jako dzieciak wygrałem z seniorami. Jako młodzik zgodnie z przepisami nie mogłem wystartować, ale stanąłem obok nich i po prostu to zrobiłem. Wygrałem. Drugim takim momentem było pierwsze podium Pucharu Świata. Poczułem wtedy, że jestem bardzo blisko czołówki.

A kiedy pojawiła się myśl, żeby zjechać na nartach z ośmiotysięcznika?

Kiedy miałem siedemnaście, osiemnaście lat i startowałem w zawodach. Myślałem, że po zakończeniu kariery zawodniczej wykorzystam swój potencjał w górach wysokich, bo wydawało mi się to możliwe. Niestety, karierę skończyłem za wcześnie.

Dlaczego niestety?

Byłem bardzo młody i mogłem się ścigać z najlepszymi, ale nie miałem możliwości finansowania startów. Przyszedł kryzys gospodarczy w 2007 roku. Wcześniej, po lawinie w 2006 roku, odsunęła się też perspektywa włączenia tej dyscypliny do programu olimpijskiego. Wszystko się posypało. Dlatego szybciej pojawiłem się w górach wysokich, choć to rywalizacja sportowa była wtedy dla mnie priorytetem i czułem, że mam w niej jeszcze dużo do zrobienia.

Samo wejście na szczyt panu nie wystarcza?

Można by równie dobrze zapytać o sens uprawiania narciarstwa. Narty są najbardziej efektywną i przyjazną formą przemieszczania się po śniegu w górach. Po co schodzić z góry, z której można zjechać? Zjazd jest przyjemniejszy.

Zwykły człowiek widzi przepaść, szczeliny i chaos. Pan mówi o „logicznej linii zjazdu”. Co to znaczy?

Chodzi o znalezienie drogi pozwalającej płynnie zjechać ze szczytu do bazy, bez odpinania nart, podchodzenia, schodzenia po skałach czy zjazdów na linie. Czasem taka możliwość istnieje, ale jej znalezienie wymaga ogromnego wysiłku, eksplorowania i poruszania się w dzikim terenie. Rozwiązujesz problem i masz samodzielność w górskim działaniu.

Nanga Parbat nazywano „górą zabójcą”. Poznał pan historie ludzi, którzy z niej nie wrócili, czy wolał je od siebie odsuwać?

Znam historię eksploracji miejsc, do których jadę. Przygotowując się, próbuję zrozumieć zagrożenia, które występują tam najczęściej. Każdy wypadek niesie naukę i wnioski, które trzeba uwzględnić we własnym planie. Warto też pamiętać, że ludzie przed nami dokonywali rzeczy przełomowych jak na swoje czasy. Nie lubię jednak etykiet, takich jak „Killer Mountain”, które mają od razu wzbudzać lęk. Odsuwam legendę i próbuję na własny sposób zaprzyjaźnić się z miejscem: zrozumieć je i poznać. Nie chcę nastawiać się negatywnie pod wpływem literatury, filmów czy opowieści o wypadkach.

Co decyduje o wyborze kolejnej góry: ambicja, ciekawość, estetyka linii czy pragnienie zrobienia czegoś jako pierwszy?

Przede wszystkim inspiracja. Pewne rzeczy dostrzega się przy okazji innych wypraw. To, że nikt wcześniej czegoś nie zrobił, bywa ciekawe, bo trzeba wymyślić, jak rozwiązać problem. Nie chodzi mi jednak o zapisanie się w historii. Satysfakcję daje rozłożenie problemu na czynniki pierwsze i praca nad nim na wielu płaszczyznach. Jestem w górach od wielu lat i czuję, że potrafię to robić.

Po dokonaniu rzeczy niemożliwej czuje pan spełnienie czy natychmiast pojawia się brak i kolejne wyzwanie?

Przede wszystkim lubię być w górach. Z czasem poziom trudności tego, co robię, pewnie będzie spadał. Moje wyprawy staną się bardziej przyjazne, turystyczne i przygodowe. Jestem z tym pogodzony. Nie wyobrażam sobie jednak całkowitej rezygnacji, bo kocham przyrodę i góry.

Czego naprawdę boi się pan w górach?

Trzeba mieć duży dystans i pokorę, bo góry są niebezpieczne, a przyroda bywa surowa. Góry nie wiedzą, że jesteśmy fachowcami. Nie można dać się ponieść emocjom ani ambicji. Trzeba umieć zmienić plan, zrobić krok w tył i się wycofać. Zawsze możemy wrócić.

Mówił pan, że strach pojawia się w przestrzeni, której pan nie zna, albo kiedy nie wie pan, jak odpowiedzieć na zagrożenie. Co pan robi, gdy nie da się go kontrolować?

Trzeba mieć plan i narzędzia pozwalające go zmienić albo się wycofać. Nie można zakładać, że po prostu coś zrobimy, nie mając pomysłu na to, co będzie, jeśli sprawy pójdą źle. Żeby podjąć działanie, muszę dogłębnie zrozumieć sytuację i odpowiedzieć sobie na wiele pytań. Jeżeli nie mam takiego zrozumienia albo czuję, że jest zbyt niebezpiecznie i nie mam na to wpływu, odpuszczam.

Zdarza się panu udawać przed zespołem, że pan się nie boi?

Jestem osobą, która nie pokazuje emocji. Spokojnie analizuję sytuację, podejmuję decyzje i się ich nie boję. Może więc po mnie nie być widać, że czegoś się obawiam.

Którego słowa nie lubi pan bardziej: „bohater” czy „ryzykant”?

W odniesieniu do siebie nie lubię ani jednego, ani drugiego.

Co panu daje to, co pan robi?

W życiu potrzebne są emocje, bo bez nich byłoby nudno. Nie istnieje idealny plan ani lekarstwo na nieśmiertelność. Trzeba żyć, przeżywać i robić to, co się kocha. Bez tego życie miałoby inny smak, bylibyśmy innymi ludźmi, mielibyśmy inną energię i może mniej dawalibyśmy od siebie.

Co słychać na wysokości ośmiu tysięcy metrów?

Słychać wiatr, padający śnieg, pękające szczeliny, obrywające się seraki. Sporo się dzieje. Nie można założyć słuchawek i pójść pobiegać. Trzeba wsłuchać się w przyrodę, bo ona daje sygnały i ostrzega przed zagrożeniami. Te dźwięki są ważne, ale też niesamowite; pokazują, jak potężna i nieokiełznana jest natura.

Czego dowiedział się pan o sobie na szczycie, w absolutnej samotności, czego na dole nigdy by się pan nie dowiedział?

Ciągle uczę się cierpliwości. Nie jest tak, że wpadasz, robisz swoje i uciekasz. Musisz czekać na właściwy moment. Nauczyłem się też, że warto trzymać się swoich przekonań wbrew temu, co myślą inni. Konsekwencja może doprowadzić do wyjątkowych chwil. Trzeba szanować przygodę i dbać o to, by podczas naszych działań ingerencja w przyrodę była jak najmniejsza. Ważne jest też szanowanie ludzi i otwartość na nich. W górach poznałem mnóstwo fantastycznych osób, z którymi mam kontakt od wielu lat.

Ile z tego, co świat nazywa wyczynem Andrzeja Bargiela, należy również do pana brata, Bartka Bargiela?

Bartek jest bardzo ważnym elementem tej działalności. Stworzyliśmy model, który pozwala realizować zdjęcia i filmy bez podnoszenia fizycznego ryzyka ludzi. Dzięki temu ja mogłem uprawiać sport bez presji, że muszę coś zrobić ze względu na produkcję, a zarazem pokazywaliśmy miejsca, do których większość osób nigdy nie dotrze. Okazało się też, że drony podnoszą bezpieczeństwo: pomagają organizować akcje ratunkowe i transportować leki. Kiedy warunki są trudne i zagrożenie lawinowe uniemożliwia ludziom wyjście, technologia może pomagać bez narażania kolejnych osób. Kiedy zaczynaliśmy, były to nowatorskie rozwiązania. Dzisiaj nawet TOPR wykorzystuje drony przenoszące duże ładunki. Bartek niesamowicie rozwinął się też jako filmowiec i zajmuje się tym zawodowo.

Wystarczy jedno zdanie brata, żeby pan zawrócił?

Bartek nie ma takiego doświadczenia górskiego. Dron pozwala przyjrzeć się miejscu albo sprawdzić, gdzie znajdują się ludzie, gdy nie ma łączności. Rozwiązuje wiele problemów, bo poza utratą urządzenia nie ryzykujemy niczym. Nigdy jednak nie zdecydowałbym się na zjazd w terenie, którego nie znam, na który nie mam pomysłu i któremu wcześniej się nie przyjrzałem. Na obrazie nie widać wszystkich zagrożeń. Technologia podnosi bezpieczeństwo, ale nie podejmuje decyzji. Nie możemy oddać jej inicjatywy. Zdarza się, że zespół, obserwując obraz, pod wpływem stresu przekazuje mi wiele rad i ostrzeżeń, choć o nie nie proszę. Ja mam własny plan i z miejsca rozumiem sytuację inaczej. Powstaje zamieszanie, a ja potrzebuję spokoju. Nie jestem osobą, która dużo mówi. Odzywam się, kiedy czegoś potrzebuję.

Po powrocie potraficie być po prostu braćmi czy cały czas rozmawiacie o górach?

W ogóle nie rozmawiamy o górach. W rodzinie także o nich nie opowiadam. Po takich przedsięwzięciach mam przesyt i z przyjemnością zajmuję się czymś innym. Kiedy wracam do domu, chcę być otwarty na innych i ich słuchać. Teraz remontujemy dom, mamy dwoje małych dzieci, dużą rodzinę, więc cały czas coś się dzieje i komuś trzeba pomagać.

Jak pan odpoczywa?

Mamy chatkę w górach. Zajmuję się tam prostymi rzeczami, na przykład sadzę las. Interesuję się też motoryzacją i trochę muzyką.

Ojcostwo zmieniło pański stosunek do odwagi i ryzyka?

Zawsze dbałem o bezpieczeństwo i ceniłem swoje zdrowie oraz życie. Zmieniło się to, że chcę być częściej w domu. Rodzina odbiera pasji beztroskę. Nie można już wyjechać gdzieś na pół roku i niczym się nie przejmować. Staram się nie przesadzać z wyprawami, żeby nie odbywały się kosztem życia tutaj.

Po sukcesach na K2, Everéście i Nanga Parbat czuje pan presję, że Bargiel znowu powinien dokonać czegoś niemożliwego? Czuje ciężar własnej legendy?

Nie. Robię to, bo to lubię, nie po to, żeby komuś coś udowadniać. Dawno temu nabrałem dystansu do tych wszystkich rzeczy. Nie nakładam na siebie presji i nie pozwalam, żeby wpływała na moje decyzje. Dopóki czuję, że chcę to robić, robię to.

Po powrocie ma pan czas przeżyć to, co się wydarzyło, zanim zamieni się to w film, kampanię i artykuły?

Nie ma mnie zbyt wiele w mediach. O wyprawie informujemy dzień przed wyjazdem. Po powrocie jestem dostępny przez dwa dni, a potem znikam. Staram się złapać dystans i dać sobie przestrzeń oraz spokój.

Myśli pan czasem, że niektórych pańskich zjazdów za kilka czy kilkanaście lat nie będzie już można powtórzyć? Dokumentuje pan świat, który znika?

Pewnie przyjdzie moment, kiedy pewnych rzeczy nie da się już zrobić. Mam nadzieję, że następne pokolenia nadal będą mogły jeździć, ale możliwości będą coraz bardziej ograniczone. Zmiany klimatu drastycznie wpływają na przestrzeń, w której uprawiamy narciarstwo. W Europie odczujemy to szczególnie. Widzę to w Łętowni, gdzie się wychowałem. Kiedyś jeździliśmy tam na nartach przez kilka miesięcy w roku. Dzisiaj śnieg utrzymuje się najwyżej przez dwa, trzy tygodnie. To powtarzalny fakt.

Co powiedział pan żonie po powrocie z Nanga Parbat?

Nie rozmawiamy za dużo o górach. Przeszliśmy do codziennych obowiązków i cieszyliśmy się, że wreszcie jesteśmy razem.

Skąd pan będzie wiedział, kiedy przestać?

Poziom trudności tego, co robię, będzie spadał i jestem z tym pogodzony. Mam nadzieję, że jak najdłużej będę mógł pozostać aktywny, choćby już tylko rekreacyjnie.

Po czym pan poznaje, że naprawdę żyje?

Po chwilach, kiedy mogę wyjść w góry i znaleźć się w wyjątkowym miejscu. Czuję wtedy, że jestem szczęśliwy i że mam ogromne szczęście, skoro dostałem takie możliwości. Ważne, żeby znajdować takie momenty dla siebie, choć jest to coraz trudniejsze, bo wszystko pędzi.

eprasa.pl 9381f2cf8a

NASZE SPRAWY

Awantura w gabinecie! Lekarz wyrzucił pacjentkę z pokoju i z sanatorium

Zaczyna się spokojnie: pani Alicja prosi o zmianę terapii, bo obawia się zdrowotnych konsekwencji zaleconych zabiegów. Lekarz odmawia, informuje ją o usunięciu z sanatorium. Spór zaognia się, słychać krzyk medyka i płacz kuracjuszki

Andrzej Pięs

Pani Alicja z początkiem sierpnia trafiła do ośrodka Glorietta Centrum Odnowy i Wypoczynku w Iwoniczu-Zdroju na terapię krótko po wszczepieniu rozrusznika serca, ale z powodu poważnych dolegliwości po poważnym urazie kręgosłupa. Lekarz specjalista w zakresie rehabilitacji medycznej w ośrodku zlecił jej terapię laserem i falami ultradźwiękowymi. To u kobiety wzbudziło obawy, że oba zabiegi mogą mieć negatywny wpływ na jej stan zdrowia, właśnie ze względu na rozrusznik. Ordynatora ośrodka poprosiła o wykreślenie tych zabiegów z listy zleceń. Z tą informacją pojawiła się u lekarza, który jej oba zaordynował, prosząc o zmianę formy terapii, choćby na masaż. Od początku pięciominutowego nagrania z tego spotkania, jakie zamieścił Zbigniew Stonoga na swoim interwencyjnym portalu, słychać rosnącą irytację medyka w trakcie rozmowy z pacjentką.

– Ani laser, ani ultradźwięki nie są zabiegami prądowymi – próbuje z początku uspokajać kuracjuszkę, że mogą wpływać na rozrusznik. – Nie chce pani, jedzie pani do domu, tyle – medyk w końcu nie wytrzymuje.

Pacjentka protestuje, powołuje się na opinię swojej fizjoterapeutki, na decyzję ordynatora; takie argumenty lekarzowi „podnoszą ciśnienie". Oświadcza, że nie interesuje go, co powiedział ordynator, a jej obowiązkiem jest przyjąć i wykonać decyzje lekarza.

– Pani przedstawia jakieś swoje dziwne wydumki, o których nie ma zielonego pojęcia – podnosi głos medyk. – Dwadzieścia osiem lat leczę, nigdy nie miałem takiej sytuacji. Wypisuję panią do domu, ja nie mam możliwości pani leczenia. Ja nie widzę absolutnie możliwości pani pobytu tutaj, obawiam się o życie pani, a w dodatku brak kontaktu logicznego z panią – powód wystarczający, jedzie pani do domu.

Panią Alicję zaskoczyła opinia lekarza o „braku kontaktu". Raz jeszcze powołała się na stanowisko ordynatora.

- A g...no mnie obchodzi, co powiedział ordynator! – wypalił medyk. – I na tym kończymy.

Rozmowa na chwilę przybiera łagodniejsze tony, kiedy medyk pyta, czy pacjentce potrzebne jest zwolnienie lekarskie. Oboje uzgodnili, że tak, do następnego dnia. Łagodne tony kończą się, kiedy pani Alicja zwraca lekarzowi uwagę, że „jest naładowany".

FOT. PDOMENA PUBLICZNA

Niektórzy internauci twierdzą, że zamiarem pani Alicji była prowokacja i „ustawka" wymierzona w lekarza

– Niech mi pani tak nie mówi, koniec dyskusji – znów on podnosi ton.

Pacjentka raz jeszcze zgłasza zastrzeżenia co do zachowania medyka. Ten oświadcza, że musi wypisać jej dokumentację. – Proszę wyjść, proszę wyjść – zwraca się do pacjentki. – I jutro pani wyjeżdża.

Następuje kilkanaście sekund ciszy, po czym...

- Jeśli tak pan traktuje ludzi z rozrusznikiem... – zaczęła kuracjuszka.

– Wyjdź pani!!! – to już był krzyk lekarza. Pani Alicja próbowała raz jeszcze odnieść się do jego zachowania. Usłyszała: „Won!". Kiedy w tym momencie ostrzegła medyka, że „dowie się o tym Warszawa", ten zakpił, że nawet Górny Śląsk. Nagranie wyraźnie wskazuje, że w tym momencie lekarz wyszedł zza biurka i „pomógł" pacjentce opuścić gabinet, powtarzając: „Wyjść mi stąd". Dalej już tylko narastający płacz kobiety, epitety pod adresem medyka, zapowiedź zgłoszenia do policji, tłumaczenie, że „przecież ordynator"...

Fala hejtu i nieco wątpliwości. Glorietta oświadcza

Pod nagraniem pojawiło się mnóstwo wpisów internautów, którzy lekarzowi nie szczędzili wulgaryzmów, gróźb i zapowiedzi.

„Proszę podać nazwisko tego chama. A i twarz także. Tu już RODO nie obowiązuje. Natychmiast zwolnić i zakaz pracy dożywotnio". Wielu proponowało rozwiązania siłowe.

Tylko nieliczni mieli wątpliwości. Po co pani Alicja zrobiła to nagranie, dlaczego nie ujawnia początku tej rozmowy, dlaczego podczas rozmowy z lekarzem kuracjuszka zachowuje spokój i dopiero po opuszczeniu gabinetu „puszczają jej nerwy"? Nieco wątpliwości co do intencji pacjentki, sugestie, że to była prowokacja i „ustawka" wymierzona w medyka.

– Jadę właśnie do pana doktora, bo chciał zająć stanowisko w tej sprawie – przyznał piątkowego południa Zbigniew Stonoga. – Poprosił o spotkanie, chce wyjaśnić, jak to dla niego nagranie jest cząstkowe i krzywdzące. Ta pani będzie składała albo już złożyła oskarżenie prywatne popełnienia przestępstwa naruszenia nietykalności osobistej i powództwo odszkodowawcze przeciwko panu doktorowi.

„Do dnia opublikowanych informacji w mediach do spółki zarządzającej Glorietta nie wpłynęło jakiekolwiek zgłoszenie, skarga czy prośba o wyjaśnienie dotyczące opisywanego zdarzenia – zarówno ze strony naszej Pacjentki, jak i osób działających w Jej imieniu" – brzmi fragment oświadczenia kierownictwa Glorietty, w którym wskazuje się także na tryb i adresatów takich skarg.

„Niemniej jednak po zapoznaniu się z opisywaną sprawą podjęliśmy wewnętrzne działania wyjaśniające mające na celu ustalenie pełnego przebiegu zdarzenia. W to-ku tych działań powzięliśmy informację, że lekarz, którego dotyczy sprawa, podjął bezpośredni dialog z Przedstawicielami Pacjentki, co przyjmujemy z uznaniem jako krok w kierunku rozwiązania sprawy w sposób bezpośredni i konstruktywny. Jednocześnie z Pacjentką skontaktował się pracownik zarządzający obiektem Glorietta, w celu wyjaśnienia okoliczności zdarzenia oraz jej wątpliwości" – głosi oświadczenie.

– Pan doktor opowiadał, jak to wygląda z jego perspektywy. Relację z tego spotkania skończył refleksją, że mimo wszystko nie powinien tak się zachować i że jest mu przykro – dodaje Zbigniew Stonoga chwilę po spotkaniu z medykiem. Nagranie publikujemy za jego zgodą.

Lekarz bije się w piersi

Lekarz pamięta tę sytuację inaczej, a jego relacja wydaje się potwierdzać wątpliwości tych, którzy zwracali uwagę, że przecież nagranie pacjentki nie ujmuje początku wizyty w gabinecie.

Była pierwszą, którą tego dnia medyk przyjął. – Skarżyła się na kołatania serca z dusznościami, potwierdziła, że takie incydenty zdarzają się jej od kilku dni – opowiada lekarz. Sprawdził wyniki jej badań i okazało się, że ma napadowe migotanie przedsionków serca.

– To jest objaw nietolerancji klimatu. Iwonicz ma specyficzne warunki środowiskowe, które sprawiają, że ludzie, którzy mają do tego predyspozycje, mają migotania przedsionków – opowiada medyk. – A to jest stan zagrożenia życia, skutkiem może być udar mózgu, zawał serca, zatorowość płucna. Poinformowałem pacjentkę, że nie może tu pozostać, musi wracać do domu, bo tutaj jej stan będzie się pogarszał i może dojść do tragedii. Odczytała to jako zamacha na jej dobra.

Okazało się, że w międzyczasie ordynator w Glorietcie odstawił pani Alicji zabiegi, które mogły nasilić dolegliwości i – zdaniem lekarza – słusznie. Kiedy zalecił jej powrót do domu, pacjenta zaczęła być pobudzona, zażądała zmiany zabiegów. Medyk zapewnia, że zaczęła machać rękami, przez chwilę miał obawy, że to może być objaw padaczki Jacksona; myślał, czy w takiej sytuacji nie wysłać jej do szpitala. Kobieta wciąż domagała się zmiany zabiegów.

– Poinformowałem ją, że nie ma mowy o żadnej zmianie, bo to jest walka o jej życie – ciągnie relację medyk, dodając, iż nie miał pojęcia, że jest nagrywany, a przebieg rozmowy wyglądał na prowokację. – Zaczęła to negować, dziwnie się zachowywać, nawet zastanawiałem się, czy to nie jest efekt niedokrwienia mózgu. Kilkanaście razy prosiłem ją o opuszczenia gabinetu. Jakby tego nie słyszała, w kółko powtarzała jedno zdanie: „Ordynator odstawił zabiegi".

Lekarz przyznaje, że jest „nerwową osobą" i że rzeczywiście doszło do karczemnej awantury.

– Powiedziałem parę nieparlamentarnych słów, nie powinienem, to nie było profesjonalne, ale stało się – bije się w piersi. – I za to mogę przeprosić. A kiedy pacjentkę chciałem raz jeszcze wyprosić, nawet podniosłem się, żeby pomóc jej wyjść, ona wtedy wypadła przez drzwi, chyba nawet uderzając barkiem o futrynę. Nie było z mojej strony żadnego użycia siły. A siniaki, które pokazywała na nagraniu, nie wynikają z tego, że ją pobiłem: to efekt działania leków przeciwkrzepliwych, które wywołują siniaczenie.

Okazuje się, że kobieta spełniła swoje zapowiedzi i po incydencie wezwała policję. Nie mając o tym pojęcia, lekarz skończył przyjmować pacjentów i przeniósł się do innego budynku, w którym przyjmowanie kontynuował.

– Kiedy dowiedziałem się od personelu, że jestem poszukiwany przez policję, poszedłem na komendę, gdzie dowiedziałem się, że pacjentka mnie nagrywała – opowiada lekarz.

Zapewnia, że próbował „jak najlepiej jej wytłumaczyć, co niespecjalnie się udało". Nie było przemocy fizycznej, naruszenia nietykalności cielesnej. Na tym etapie wiadomo, że doniesienie na policję wpłynęło, a prywatny akt oskarżenia ma być.

©℗

eprasa.pl 9381f2cf8a

PASJA

Naszywka po naszywce. Czesław Drąg kolekcjonuje mundurowe historie

Nie kupuje ich hurtowo, nie zamawia przez internet, nie zależy mu, by jak najszybciej zapełnić kolejne miejsce w kolekcji. Dla Czesława Drąga każda naszywka ma historię, a jej zdobycie jest częścią pasjonującej przygody

Wojciech Tatara

Emerytowany instruktor Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie zgromadził już kilkaset naszywek strażackich z Podkarpacia, a także oznak formacji wojskowych.

– Kolekcjonerstwo mam w naturze od dziecka. Lubię coś ciułać, zdobywać, poszukiwać. Kolekcjoner to nie jest tylko ktoś, kto zbiera. To człowiek, który chce wiedzieć coś więcej o konkretnym egzemplarzu. W moich zainteresowaniach kolekcjonerskich wiodące jest bibliofilstwo, natomiast kolekcja naszywek jest niejako kolekcją uboczną. Z czasem jednak zaczęła żyć własnym życiem – mówi Czesław Drąg.

FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Czesław Drąg ma duszę zbieracza. W jego kolekcji znajduje się kilkaset naszywek straży OSP z Podkarpacia

Zaczęło się od Turków

Początek pasji związany jest z wielkanocną tradycją Podkarpacia – paradami Turków. To przegląd straży wielkanocnych. W takich wydarzeniach uczestniczą strażacy ochotnicy z całego regionu i nie tylko. Podczas kolejnych przeglądów poznawał druhów.

– Zainaugurowałem tę imprezę. A że parad zrealizowaliśmy już ponad trzydzieści, miałem okazję prosić strażaków o naszywki. Tak moja kolekcja z roku na rok się zwiększała. Ponadto większość tych strażackich naszywek pochodzi z miejsc, gdzie pracowałem przy różnych wydarzeniach kulturalnych. Prosiłem: „Na pamiątkę macie mi dać". I stąd mam naszywki straży z wielu miejscowości – opowiada kolekcjoner.

Niektóre mają herby konkretnych miejscowości, inne charakterystyczne symbole związane z daną OSP. Inne ciekawe są ze względu na nazwę.

– Na Podkarpaciu są piękne nazwy miejscowości: Wielkie Oczy, Lisie Jamy, Zmysłówka, Boguchwała, Zabajka koło Głogowa. Te historie miejscowości mnie interesowały, czasami dociekałem, skąd się wzięła dana nazwa. Na mojej liście jest też Jata w gminie Jeżowe, już wkrótce będę miał od nich naszywkę. Kolekcja to rzecz, którą traktuję jako pamiątkę, może kiedyś dla wnuków – mówi pan Czesław.

Wśród szczególnie trudnych do zdobycia okazów wymienia Lutoryż, czyli miejscowość położoną niemal po sąsiedzku.

Bliskość nie zawsze ułatwia kolekcjonerowi zadanie.

– Na naszywkę z Lutowisk w Bieszczadach czekam już długo. Mam tam znajomych, dyrektora, leśniczego. Obiecują, więc wierzę, że w końcu przyjdzie. Za niektóre trzeba było dać coś w zamian, bo mam również naszywki zapasowe do wymiany – przyznaje.

Jedną z ostatnich naszywek, jaka za pośrednictwem „Nowin" trafiła do kolekcji pana Czesława, jest ta z symbolem OSP Bzianka, obchodzącej w tym roku jubileusz 100-lecia.

Nie liczba, ale historia

Czesław Drąg nie chce zdobywać naszywek w sposób masowy. W jego kolekcjonowaniu najważniejsza jest droga, którą pokonuje konkretny przedmiot.

– Gdyby mi ktoś dał naraz sto sztuk, to ja tak nie chcę. To ma kapać. Po trzy, cztery w miesiącu. Wtedy jest w tym urok. To musi być ciułane, musi być zbierane – podkreśla.

Kolekcjoner preferuje bezpośredni kontakt z jednostkami i ich przedstawicielami. Czasami pomaga znajomość z dawnych lat, wcześniejsza współpraca przy wydarzeniach kulturalnych.

– Nie chcę załatwiać tego masowo przez internet. To byłoby zaprzeczeniem istoty kolekcji i mojej przygody. Tym bardziej, że jest to przygoda nieszkodliwa, niekosztowna, przede wszystkim ma bawić. Jeżeli gdzieś znam byłych dyrektorów, kolegów czy znajomych, łatwiej ich zagadać. Za niektóre naszywki proponuję broszurę, książkę, jakieś wydawnictwo czy widokówki. I wtedy nie chodzi tylko o samą naszywkę. Jest spotkanie, rozmowa, wspomnienia – opowiada nasz bohater.

Kolekcja jest przede wszystkim podkarpacka. Drąg zdaje sobie sprawę, że próba zebrania wszystkich naszywek strażackich w Polsce byłaby praktycznie niemożliwa.

– Podkarpacie jest dla mnie naturalnym ograniczeniem. Gdybym chciał zbierać wszystko, to bym nie bardzo miał gdzie trzymać, ponieważ w kraju jednostek OSP są tysiące. Powiat rzeszowski ma dwanaście gmin i naszywki zebrałem prawie w komplecie. Tarnobrzeski powiat mam słabiej opanowany, więc jest jeszcze co robić – uśmiecha się kolekcjoner.

Mundurowe kolory

W kolekcji znajdują się nie tylko naszywki strażackie. Czesław Drąg interesuje się także odznakami formacji wojskowych. Potrafi rozpoznać ich przeznaczenie i powiedzieć, z jakim rodzajem wojsk są związane. Gdy go odwiedzamy, naszywki wojskowe są ułożone według formacji, zaś strażackie znajdują się w specjalnych gablotach, a część z nich ułożona jest na dużym stole.

Wśród wojskowych naszywek dominują polskie. Są znaki związane z lotnictwem, wojskami lądowymi i marynarką. Można również spotkać pojedynczą naszywkę ukraińską, kilka amerykańskich. Jak podkreśla, współczesne naszywki są przede wszystkim ozdobą munduru i praktycznym oznaczeniem formacji.

– W tej chwili technika rzepów sprawia, że naszywki można w jednej chwili przyczepić, nie trzeba ich już przyszywać. Dla mnie one są czymś więcej, bo można przy okazji dowiedzieć się, czego dotyczą i skąd pochodzą. Mają długą tradycję wojskową. Kojarzone są z oznaczeniami używanymi przez jednostki uczestniczące w działaniach podczas II wojny światowej. Były polskie naszywki, były oznaczenia lotników, armii Sikorskiego czy Andersa. W ten sposób żołnierze wyróżniali się podczas wojennych działań – tłumaczy.

Strażacy to także kultura

Zainteresowanie Czesława Drąga strażackimi naszywkami nie jest przypadkowe. Przez lata, pracując w Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie, związany był z kulturą. W działalności ochotniczych straży pożarnych dostrzega nie tylko ich podstawową rolę, ale także ogromny wkład w życie kulturalne miejscowości. Szczególne miejsce w jego opowieści zajmuje Grodzisko Dolne, które określa jako „matecznik Turków". To właśnie tam funkcjonuje kilka oddziałów straży wielkanocnych. – Strażacy, fajermani OSP są najstarszą organizacją na polskiej wsi. Znacznie później pojawiły się koła gospodyń wiejskich. Najpierw był sztandar, a dopiero później pojawiły się te naszywki. Strażacy są dla mnie szczególnie bliscy. Robią bardzo dużo dobrego dla kultury. Jest mnóstwo orkiestr dętych, chórów, zespołów kabaretowych, śpiewaczych, które mają swój organ założycielski w OSP. Żeby zebrać czterdziestu dwóch ludzi, w tym młodzież, ubrać ich w mundury, kupić instrumenty i zrobić próby, trzeba wykonać ogromną pracę. Orkiestry dęte są domeną straży pożarnych na naszym terenie, nie tylko GOK-ów, ale przede wszystkim remiz i OSP – opowiada emerytowany instruktor WDK.

Kolekcja wciąż rośnie

Mimo że zbiór liczy już kilkaset naszywek, Czesław Drąg nie zamierza kończyć kolekcjonerskiej przygody. Czeka na obiecane naszywki z Lutowisk, Jaty, Zabajki i z gminy Harasiuki. Każda nowa naszywka oznacza kolejną rozmowę, spotkanie i historię.

– Około sześciu naszywek lada dzień powinno do mnie spłynąć, po niektóre sam jadę. I to jest sympatyczne spotkanie. Można ze starymi druhami pogadać. To jest najważniejsze. Nie chodzi o to, żeby mieć wszystko natychmiast. Chodzi o przygodę, o ludzi, o rozmowę i o to, że za każdym małym kawałkiem materiału stoi konkretna miejscowość, jednostka i historia – podkreśla zbieracz z Boguchwały.

Dla niego naszywki są więc czymś znacznie więcej niż kawałkami materiału przyszytymi do munduru. To małe znaki wielkich lokalnych historii – jednostek, strażaków, żołnierzy i miejscowości, które dzięki kolekcjonerskiej pasji mogą zostać zachowane na dłużej.

Czesław Drąg ma również bogatą kolekcję widokówek z Ojcem Świętym Janem Pawłem II. Posiada chyba największy zbiór w Polsce, liczący kilkaset egzemplarzy „Pana Tadeusza", wydanych m.in. w języku hebrajskim, francuskim, koreańskim, łacińskim czy esperanto.

©℗

eprasa.pl 9381f2cf8a

GÓRSKIE BIEGI

Tylko dla orłów? Rekord Marcela Broja

Nie chodzi o rekordy, to jest dodatek do pasji – mówi nam Marcel Broj, 26-letni biegacz wysokogórski, który przebiegł Orlą Perć w godzinę. – To najtrudniejszy szlak znakowany Polsce. Czy jest to jakiś wartościowy sukces? Nie wiem. To kwestia indywidualna, jak ktoś to odbiera.

Jacek Żukowski

Przebiegł pan szlak Orlej Perci w Tatrach. Skąd pomysł? Biegi górskie to jest pana pasja?

To jest tylko pasja, hobby. Pomysł zrodził się dwa lata temu. Trochę się zainspirowałem moim kolegą, aktualnie już kolegą z teamu Dynafit – Marcinem Kunzem. On dwa lata temu próbował pobić rekord przebiegnięcia Orlej Perci i wówczas zabrakło mu 40-50 sekund do ustanowienia nowego. Marcin jest zawodnikiem na moim poziomie, więc wtedy doszedłem do wniosku, że spróbuję to zrobić. I rok temu była pierwsza próba. Wtedy mi brakło dwóch minut. Kolejne podejście było w czerwcu. Poszło troszkę gorzej. No i teraz za trzecim razem się udało.

Poprzedni rekord przetrwał osiem lat.

Tak. Czekam, aż ktoś pobije mój, wtedy podejmę kolejną próbę. Może uda się złamać barierę godziny (na razie rekordowy czas 1:01.30 godz).

Jak potwierdza się wiarygodność czasu?

Jest taka aplikacja – Strava i jest segment ustawiony od Zawratu do Krzyżnego. Biegnie się z zegarkiem z GPS-em, nie ma możliwości, by to oszukać. Nawet jakby człowiek zatrzymał zegar, to i tak czas tego segmentu liczy się.

A pan miał pan jakieś choćby kilkusekundowe przerwy?

Nie, biegłem od początku do końca.

Dlaczego akurat ten szlak? Bo to jest najtrudniejsze wyzwanie, jeśli chodzi o górskie biegi w Polsce?

To jest to na pewno najtrudniejszy szlak znakowany Polsce. Czy jest to jakiś wartościowy sukces? Nie wiem. To kwestia indywidualna, jak ktoś to odbiera. Uprawiam biegi górskie od jedenastu lat. Natomiast sam skyrunning od 5 lat.

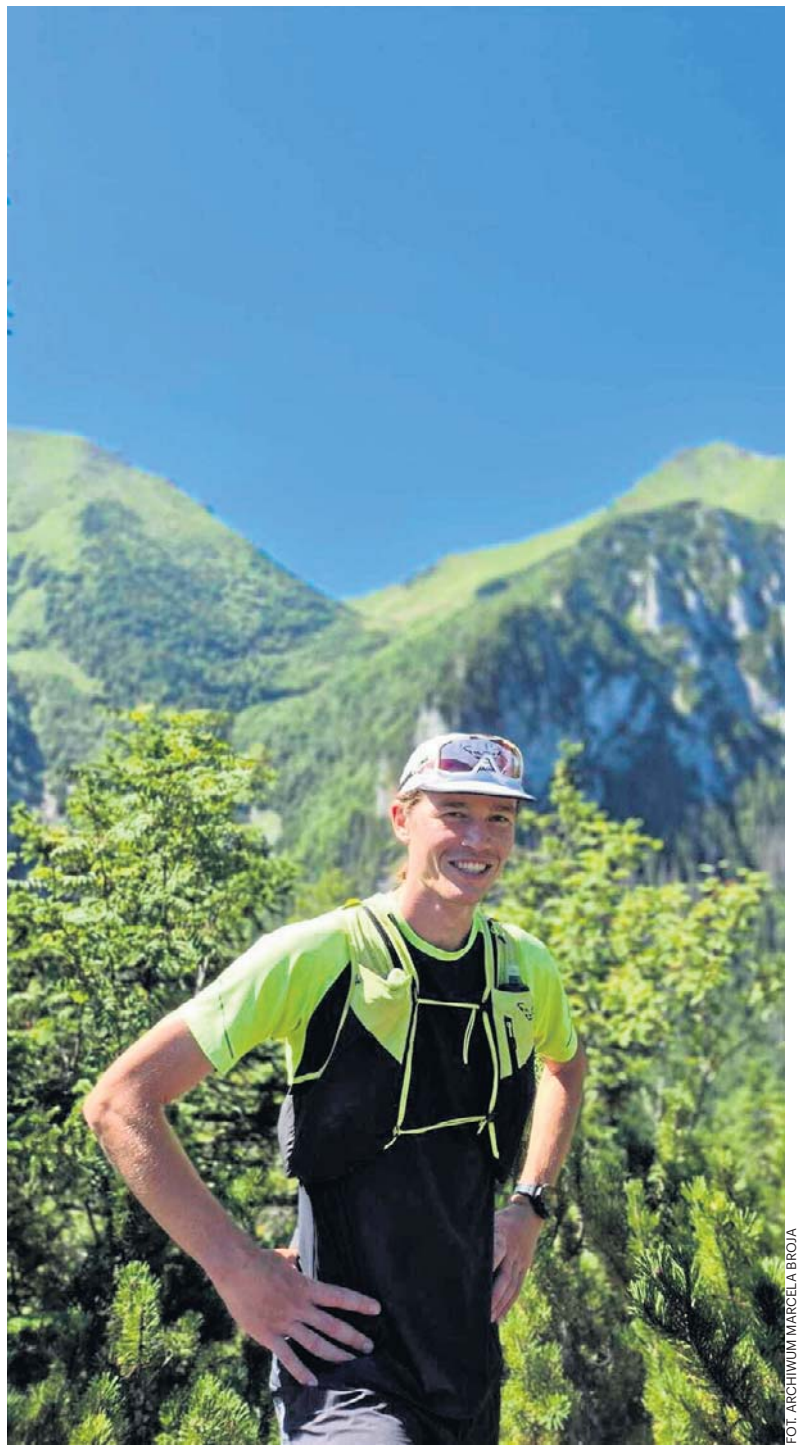

FOT. ARCHIWUM MARCELA BROJA

Marcel: Staram się podchodzić do wszystkiego ze sporą dawką pokory

Głowa odgrywa bardzo dużą rolę, ale wiadomo, że bez treningu, bez przygotowania wytrzymałościowego, kondycyjnego wyniku nie będzie. Jest wiele składowych

Marcel Broj

Jest słynny bieg granią Tatr, o wiele dłuższy (71 km) i pewnie bardziej wymagający. Nie myślał pan o nim?

Na razie takich długich dystansów nie biegam. Tak maksymalnie to dystanse maratońskie. Ale w przyszłości będę próbował. W biegu, o którym pan mówi, startował Marcin Kunz i ukończył go na piątym miejscu w ubiegłym roku. Wszystko przede mną.

O której pan zaczął bieg na zwykle zatłoczonej Orlej Perci? Nie ma możliwości, żeby biec pustym szlakiem.

Tak, to prawda. Wystartowałem z Zawratu o godz. 17.43. Przede mną biegła koleżanka Patrycja Stanek, mistrzyni Polski, robiła trening. Umówiliśmy się, że jak trafi na turystów, to powiadomi ich, że za jakiś czas pobiegnę ja i w razie czego będę wdzięczny za możliwość przepuszczenia mnie. I tak się złożyło, że minąłem dosłownie sześć, siedem osób.

Bardzo mało.

Tak naprawdę miałem całą Orlą pustą, dla siebie.

Robił pan przymiarki, kiedy najlepiej wystartować? Bo mi się wydawało, że lepiej wcześnie rano, np. o 4.

Jest też taka opcja, tylko że o czwartej, piątej rano to często ci turyści, którzy nocują w schroniskach, np. w Pięciu Stawach czy Murowańcu, są już na szlaku. Jest więc ryzyko, a wieczorem to jednak zostają osoby, które później wyszły.

Najtrudniejszy moment to Kozie Czuby?

Faktycznie, odcinek od Zawratu do Koziego Wierchu. Jest tam najwięcej odcinków eksponowanych, z łańcuchami. Jest sporo podciągania na łańcuchach.

Było mało ludzi na trasie, nikt na pana nie zwracał uwagi w sensie negatywnym? Gdyby było dużo ludzi, to pewnie nie byłoby to bezpieczne?

To prawda. Miałem to szczęście, że akurat ci ludzie wiedzieli o tym, że biegnę i zachowali się kulturalnie, nawet kibicowali, dopingowali.

Gdyby pan spotkał większą liczbę ludzi, to by pan zrezygnował?

Pewnie tak, bezpieczeństwo jest najważniejsze. Nie chodzi o rekordy, to jest dodatek do pasji.

Orla Perć to najtrudniejszy szlak w Polsce, dla wielu ludzi nawet trudny do przejścia, trzeba nim samym iść 7 godzin, doliczyć jeszcze wejście i zejście. Na pewno wielokrotnie słyszał pan o śmiertelnych ofiarach tego szlaku. I to nie odwiodło pana od pomysłu, by nim biec? Że to nie jest najlepsza trasa do biegów?

Na pewno ryzyko jest. Dwa dni później jechałem rowerem na Słowacji i wydaje mi się, że ryzyko wypadku na rowerze, jadąc po głównych drogach, jest zdecydowanie większe.

Cała trasa biegu była pokonywana w komforcie.

Nie było takiego momentu w którym bym czuł się niepewnie, że się potknę, czy upadnę i zsunę po ścianie. Nie było takiego miejsca.

W jakich butach pan biega? Sportowych czy górskich?

To są buty trailowe, specjalne do biegów górskich.

Mają więc podeszwę z wibramem.

Tak, ale wszystko jest ultra lekkie.

Biega pan już kilkanaście lat. Jak plasuje pan ten ostatni wyczyn? Jako największy, jak na razie, sukces?

Aż tak tego nie odbieram. To tylko rekord. Czy on jest znaczący w świecie biegowym? Nie powiedziałbym. Bardziej jednak trenuję pod zawody i to jest główny cel. Tak naprawdę najbardziej zależy mi po prostu na dalszym realizowaniu się w górach. Na możliwości przebywania w pięknych miejscach, poznawania nowych tras, podejmowania kolejnych wyzwań i przede wszystkim czerpania z tego wszystkiego radości. Wyniki, rekordy czy konkretne zawody są dla mnie ważne, ale nie są celem samym w sobie. W ostatnim czasie mam też szczęście trafiać na naprawdę dobrych ludzi i coraz bardziej doceniam samo to, gdzie obecnie jestem i co mogę robić. Dlatego chyba nie mam jednego wielkiego marzenia.

A co sobie pan ceni najbardziej z tych dotychczasowych rezultatów?

Myślę, że czwarte miejsce na mistrzostwach Polski w biegach wysokogórskich. Cenię sobie progres, jakiego dokonałem. Co roku jest poprawa wyników i ku temu zmierzam, żeby gdzieś w przyszłości moje bieganie było na coraz wyższym lepszym poziomie.

Czym się pan zajmuje na co dzień?

Jestem po studiach wychowania fizycznego na Politechnice Opolskiej i od września rozpoczynam pracę w szkole podstawowej jako wuefista.

eprasa.pl 9381f2cf8a

Co jest najtrudniejszego w biegach górskich? Czy to jest ta fizyczna strona, trudności, czy jednak psychika, by nie mieć strachu, obaw.

Głowa odgrywa bardzo dużą rolę, ale wiadomo, że bez treningu, bez przygotowania wytrzymałościowego, kondycyjnego wyniku nie będzie. Jest wiele składowych potrzebnych do osiągnięcia sukcesu. Jest przede wszystkim monotonny trening, wiele godzin biegania, także jazdy na rowerze. A co się tyczy typowo wysokogórskiego treningu, to trzeba mieć głowę odblokowaną, mniejsze poczucie strachu. Ale podchodzić do wszystkiego ze sporą dawką pokory, że w każdej chwili może się coś stać. Wyobraźnia więc jest potrzebna.

Jak intensywnie pan trenuje?

Prawie codziennie. Czasami jest jeden dzień wolnego na regenerację, myślę, że jakieś piętnaście godzin tygodniowo. W okresie letnim trochę więcej, bo w górach przebywam sporo.

Biega pan w miejscu zamieszkania w województwie opolskim po płaskim terenie.

Na co dzień rzeczywiście tak, po wałach Odry, po takich polnych, szutrowych drogach. Natomiast w górach jestem około stu dni w roku.

Ma pan ulubione tereny?

Wiadomo, Alpy. A w Polsce są to Góry Opawskie, Biskupia Kopa, pasmo Jesioniki w Czechach z Pradziadem w roli głównej.

W Tatrach pan biega?

Tak, wzdłuż i wszerz je przebiegam. Tylko jest tu dużo ludzi. Polskich Tatr staram się więc unikać. Lubię słowackie. Można tam naprawdę znaleźć takie trasy, na których turystów spotyka się rzadko, dosłownie kilka osób, nawet w sierpniu. Taka jest Dolina Cichej Wody od strony Podbańskiego, w stronę Kasprowego Wierchu, Gładka Przełęcz.

Mówi pan o treningach na wałach Odry, ale może trzeba biegać po schodach?

Schody mechaniczne – te z siłowni są teraz dosyć popularne wśród tych topowych biegaczy. Jeszcze z kamizelką obciążeniową.

A rower w tym treningu zajmuje jakąś część? Bo wtedy pracują inne partie mięśni.

Rower jest o tyle fajny, że on mało obciąża te mięśnie i stawy, które pracują podczas biegania, jest mniejszy nacisk i w okresie zimowym, w którym objętość treningowa powinna być dużo większa, żeby zbudować bazę pod sezon główny, to rower stacjonarny, trenażer to jest coś, z czego często korzystam.

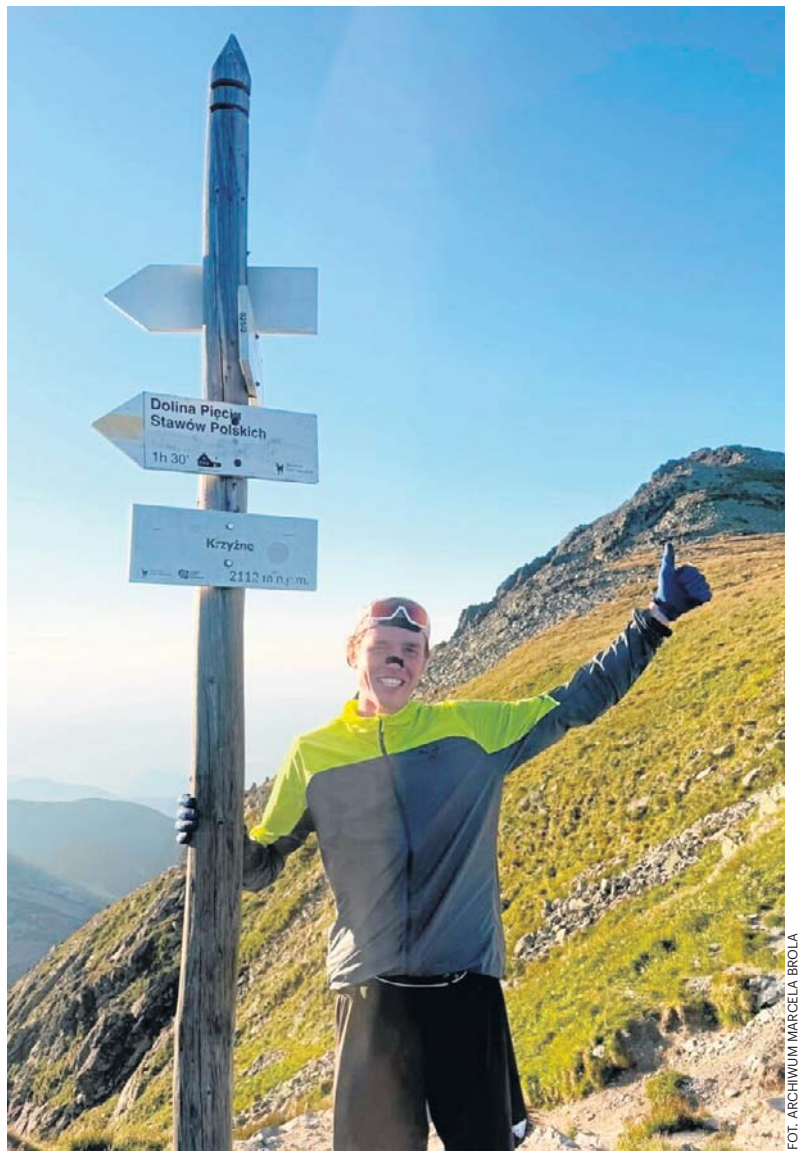

FOT. ARCHIWUM MARCELA BROLA

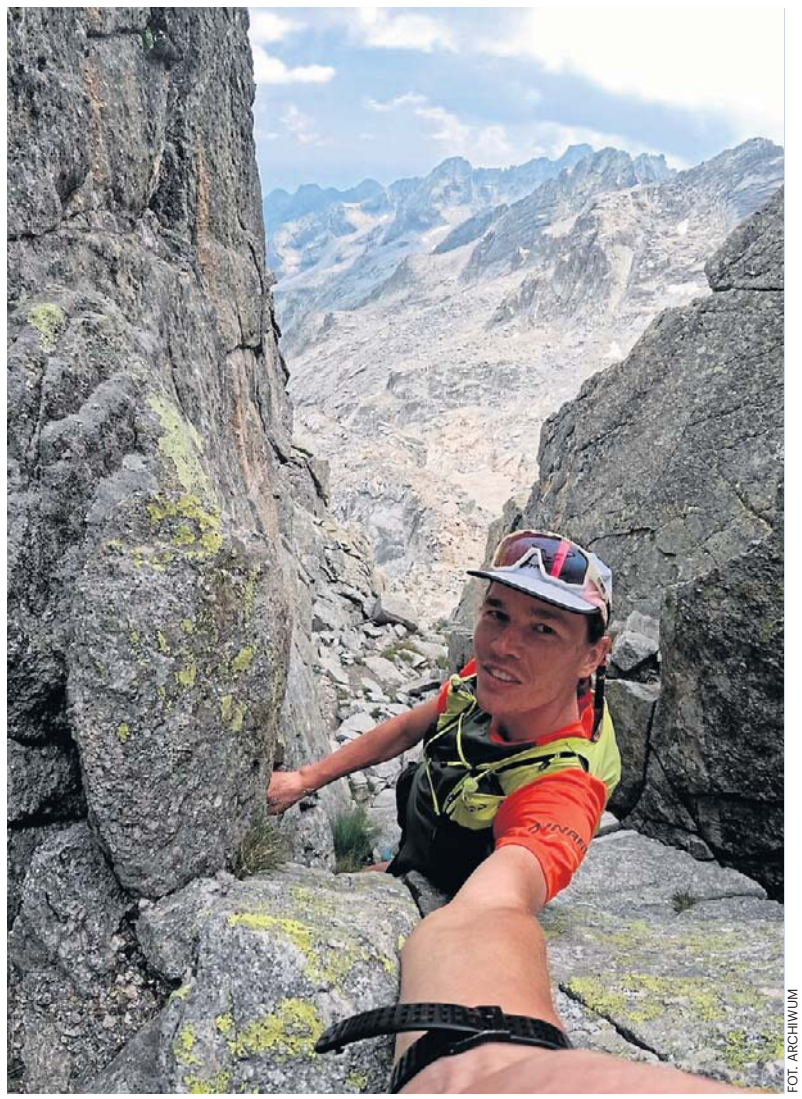

FOT. ARCHIWUM

Rekordy są dla mnie ważne, ale nie są celem samym w sobie

Spotkał się pan kiedyś z jakąś nieprzyjemną sytuacją, że ktoś panu zwrócił uwagę w nieprzyjemny sposób kwestionując pańskie bieganie, że zakłóca pan spokój?

Była taka sytuacja w zeszłym roku, we wrześniu na zawodach podczas biegu na Kasprowy Wierch przez Myślenickie Turnie. Wtedy bardzo dużo ludzi zjechało w Tatry. Start z ronda w Kuźnicach był o 10 czy 11 i na trasie mijaliśmy tłumy. Większość osób była pozytywnie nastawiona, przepuszczała nas kulturalnie. Ale znalazła się grupa ludzi, wytatuowanych... I jak próbowałem kulturalnie przeprosić takiego jednego pana, to on oczywiście mnie nie przepuścił i jeszcze wepchał mnie gdzieś na bok w stronę rowu obok. Została mi ta sytuacja w głowie. W końcu wyprzedziłem go, ale samo to zachowanie było dziwne.

Uważa pan, że takie biegi są bezpieczne dla innych użytkowników szlaków?

W przypadku tego biegu myślę, że tak. No bo to jest bieg tylko pod górkę, więc tempo jest naprawdę bardzo wolne. Poruszamy się do góry, więc nie ma szans, żeby się zderzyć z turystami. Ale to, że trafiliśmy na spore tłumy było troszkę nieprzyjemne. Szczególnie dla tych pierwszych osób, które walczą bardziej o czas, o miejsce. Startowało nas około dwustu pięćdziesięciu osób. Przy ruchu turystycznym to trochę rzeczywiście może być dyskusyjne.

A pańskie marzenie związane z biegami?

Myślę, żeby rozwijać się w skyrunningu, startować w głównych biegach. I może w przyszłości pokusić się o jakiś dobry rezultat.

A jest taki bieg, o którym pan marzy szczególnie?

Myślę, że Matterhorn Ultra Extreme. Za rok spróbuję na pewno.

Jaki tam jest dystans?

Dosyć długi. 29 kilometrów i 3300 m przewyższenia.

W Chamonix jest słynny bieg UTMB.

Tak, to jest festiwal biegowy. Nasza dyscyplina dzieli się na trail, czyli takie biegi górskie, zwykłe, w takim terenie bardziej prostym i skyrunning – biegi wysokogórskie. A ja jednak jestem zwolennikiem tego drugiego, a festiwal biegowy jednak jest po łatwiejszych trasach i póki co nie ciągnie mnie tam.

A myślał pan o tym, co zrobił Roman Ficek – dziesięć razy wszedł (wbiegł) na Rysy i zbiegł. Myśli pan o tym?

O tym nie myślałem, natomiast wrażenie robi inny projekt Romana Ficka – wielka Korona Tatr. Zdobył czternaście najwyższych szczytów tatrzańskich na Słowacji. Zrobił to poniżej 30 godzin. Myślę o tym w przyszłości, gdy będę biegał ultradystanse. Ale póki co skupiam się na krótszych trasach.

Pański wynik na Orlej Perci na pewno działa na wyobraźnię ludzi, którzy nie zajmują się skyrunningiem. Natomiast nie myśli pan, że może pan znaleźć naśladowców, którzy nie do końca sobie zdają sprawę z ryzyka, z trudności i to może być troszeczkę niebezpieczne?

Zauważyłem to w komentarzach w sieci, sporo było negatywnych, wręcz hejtu, bym powiedział na moją osobę po tym rekordzie. Natomiast... Każdy odpowiedzialny jest za siebie.

Hejt odnosił się do tego, że może być pan przyczyną takich złych zachowań i jakichś tragedii?

Też było kilka właśnie tego typu komentarzy.

Mogą znaleźć się ambitni, którzy stwierdzą: „On przebiegł, to ja też spróbuję". A nie będą mieli przygotowania ani wyobraźni.

Jest takie ryzyko, ale nie mam wpływu na to.

Miał pan jakieś wzorce wśród rodziny, znajomych, że się pan w ogóle tymi biegami zainteresował?

Sport był w rodzinie od zawsze, taki amatorski. Ojciec najpierw mnie nosił na plecach w nosidełku. Jeździliśmy na Słowację, do Czech.

Od dziecka góry były ze mną. I pokochałem je dzięki rodzicom.

Rodzice nadal chodzą po górach?

Tak, mama chodzi, a tata nawet biega. Ja zacząłem, a on po kilku latach się w to wciągnął. I teraz startuje nawet w zawodach. Z kolei dwóch braci też chodzi po górach, ale nie biega.

Zacznie pan pracę w szkole, będzie czas na biegi?

Na pewno. Nauczyciel to taka praca, że jednak trochę wolnego jest – w weekendy i wakacje. Brałem to pod uwagę kilka lat temu przy wyborze studiów.

eprasa.pl 9381f2cf8a

KULTURA

Filip Gurłacz: Cenię sobie szczególnie role w filmach, które dają ludziom światło

Właśnie oglądamy go w kinach w głównej roli w dramacie „Odzyskany". Wcześniej zachwycił w „Tańcu z gwiazdami" i był kapitanem jednej z drużyn w „Kocham cię, Polsko!". Nam opowiada, jak poradził sobie ze sławą, która na niego spadła

Paweł Gzyl

W jednym z wywiadów powiedziałeś: „Aktorstwo buduje mnie moralnie i rozwija". Tak było z rolą w filmie „Odzyskany"?

Zdecydowanie. Ta rola jest jedną z tych, które utwierdzają mnie w przekonaniu, że aktorstwo buduje mnie jako człowieka w dobrym i służącym światu kierunku.

Film opowiada o chłopaku, który ma trudne życie, ale też sporo sam narozrabiał. Co cię zaciekawiło w tej postaci?

Geneza mojego udziału w tym filmie jest dosyć prosta. Zaczęło się od tego, że Marcin Kwaśny zaproponował mi rolę w krótkometrażowym filmie „Spowiedź", który jest dostępny na YouTube. Punktem wyjścia było jego pytanie, czy wierzę w Boga. Kiedy zapytałem, skąd to pytanie, stwierdził, że to dlatego, iż film będzie o wierze i szuka kogoś, kto potrafi ponieść to również prywatnie. Zrobiliśmy ten film, ale Marcin poczuł, że ta historia nie została do końca opowiedziana i dlatego porwał się na pełny metraż, proponując mi kontynuację współpracy. Przyczynkiem do tego, że zagrałem w „Odzyskanym" nie było więc to, co złe w jego bohaterze, ale to, co dobre w twórcach tego filmu.

Nie jest tajemnicą, że sam masz za sobą trudne chwile: sięgałeś po różne używki i musiałeś stoczyć wewnętrzną walkę, aby się z tego wyzwolić. Dużo siebie zobaczyłeś w Janku?

Przede wszystkim współczułem mu. Mam wrażenie, że każdy z nas toczy taką wewnętrzną walkę, tylko nie mamy pojęcia co kto niesie w sobie. Sytuacja życiowa Janka jest zupełnie inna niż moja. Jego ojciec zniknął z domu i został alkoholikiem. Ja mam dwoje rodziców, którzy ze sobą wytrwali do dziś. Dlatego Janek niósł ze sobą coś, co było mi obce, ale poruszające jako człowieka – poczucie winy. Od tego zacząłem budować tę postać. „To moja wina, że rodzice nie są razem, to moja, że tata pije" – myślał Janek. Moje prywatne doświadczenia pomogły mi tylko w kilku scenach. Nie mam jednak dla siebie tyle współczucia, co miałem dla Janka.

FOT. KNOCK KNOCK ACTORS

Filip Gurłacz: Przebaczenie jest łaską, po którą trzeba sięgać. Trzeba wykonać pewną pracę

„Odzyskany" to film o sile przebaczenia, które wynika z wiary. Doświadczyłeś tego w swoim życiu?

Oczywiście. Są dwa rodzaje przebaczenia. Pierwsze to przebaczenie od teraz – czyli wszystkiego tego, co mi się aktualnie wydarza. Od swego przyjaciela i terapeuty podkradłem zasadę, którą wprowadzam w swoje życie i polecam wszystkim: przebaczam od razu. Gorzej jest z przebaczeniem krzywd, które już się dokonały, które w nas siedzą i ta rana jest niezagojona. Wtedy przebaczenie jest łaską, ale taką, po którą trzeba sięgać. Zarówno w przypadku Janka, jak i moim, aby jej dostąpić, trzeba wykonać pewną pracę. To nie przychodzi samo.

Mottem filmu mogłyby być słowa św. Augustyna, które zresztą w nim padają: „Dopóki walczę, jestem zwycięzcą".

Tak. Dużo w tym prawdy.

„Odzyskany" to pierwszy film, w którym grasz główną rolę. Praktycznie cały czas jesteś na ekranie. To było dla ciebie dużym wyzwaniem?

Nie skupiałem się na tym. Trochę czasu jestem już aktorem i starałem się skupić na powierzonym mi zadaniu. Nie narzucałem sobie dodatkowej presji, bo niektóre sceny były dla mnie bardzo wymagające i obciążone emocjonalnie. Ale faktycznie – to moja pierwsza główna rola. Cóż: pan Bóg ma poczucie humoru, że dał mi szansę ją zagrać właśnie w takim filmie. (śmiech) Byłem jednak w naprawdę dobrym towarzystwie. Są rzeczy, na które jako aktor nie do końca mam wpływ, jak montaż czy dźwięk, czyli to, co dzieje się w postprodukcji filmu. Po złożeniu tego wszystkiego patrzę na siebie trochę krytycznie. Nie mówię, że film mi się nie podoba, ale kilka rzeczy można by poprawić. „Odzyskanego" warto przede wszystkim zobaczyć dla roli Andrzeja Mastalerza, który wciela się w ojca Janka. Zagrał to wybitnie i powinien zostać za to nagrodzony.

Masz w filmie wiele emocjonalnych scen – jak spowiedź czy rozmowa Janka z ojcem w łazience. Jak sobie z nimi poradziłeś?

Nie przychodzi mi to łatwo. Wymaga to dużego skupienia, a przy moim naturalnym rozproszeniu, jest to dla mnie bardzo wymagające. Do tego trzeba zagrać tak, aby było to wiarygodne i bliskie postaci, a nie przerysowane. Dlatego zawsze byłem wykończony psychicznie po tych zdjęciach. Wracałem do domu i czułem się jak po długiej pielgrzymce.

„Odzyskany" to film z pozytywnym przesłaniem: że nawet z najtrudniejszej sytuacji może być wyjście. Takie role sprawiają, że czujesz, iż aktorstwo ma sens?

Tak. Szczególnie cenię sobie właśnie role w filmach, które budują ludzi i świat, traktując o sprawach uniwersalnych i ponadczasowych, dają ludziom światło. Dzisiaj modne jest kino, które pozostawia nas w beznadziei. Pokazuje, że nie ma żadnych rozwiązań. Dlatego w „Odzyskanym" spodobało mi się to, że kończy się happy endem.

Twoja mama jest skrzypaczką, a tata aktorem kabaretowym. Podobało ci się życie artystów, kiedy w dzieciństwie przyglądałeś się rodzicom?

I tak, i nie. Bardzo mi się podobało w takim życiu, które prowadzili rodzice, to, że są otwarci na innych ludzi. Nasz dom zawsze był pełen gości, było dużo imprez, tańca i śpiewów, było gwarno, głośno i wesoło. Chętnie słuchałem od małego różnych anegdot ze świata filharmonii i teatru. To było coś, co mi imponowało i podobało mi się. Pamiętam jednak, że były to lata 90., czyli czasy dzikiego kapitalizmu i odczuwaliśmy duży ciężar codzienności. To była prawdziwa walka o byt. Mojego taty często nie było w domu, a mama pracowała na dwa etaty. Rodzice musieli włożyć wiele trudu w to, by zapewnić sobie i mnie z bratem w miarę godne życie. To też kojarzyło mi się z życiem artystycznym – i nie podobało mi się. Teraz sam jestem aktorem i ojcem rodziny, ale czasy się zmieniły. Widzę, że wiele zależy od tego, jak prowadzimy nasze życie, a nie nasz zawód.

To tata zasugerował ci, żebyś zdawał do szkoły teatralnej. Dobrze zrobił?

Bardzo mu jestem za to wdzięczny. Dzisiaj jestem aktorem i to jest moja pasja. Kiedy wstaję rano i jadę na plan, nie czuję, że idę do pracy. Mam dwójkę małych dzieci i kiedy je zostawiam w domu, mam wrażenie, że jadę na wakacje. (śmiech)

Studiowałeś na wydziale lalkarskim w Białymstoku. Ta szkoła przygotowała cię do pracy aktora?

Średnio. Po prostu nie mieliśmy zajęć przed kamerą. A teraz głównie pracuję w telewizji i w kinie. Ale szkoła bardzo dobrze przygotowała mnie do życia. Tam poznałem moją żonę Małgosię, z którą mam teraz dwójkę wspaniałych dzieci. Gdyby nie ona, nie byłbym tym, kim dzisiaj jestem. Bardzo dobrze wspominam te studia, bo przedłużyły mi one młodość. Trafiłem po prostu w swoje akwarium. Ze średniego ucznia w gimnazjum i liceum, nagle dostałem stypendium ministra edukacji. Poczułem, że tam pasuję, że to mi wychodzi, że szybko robię progres i się rozwijam. To było odczuwalne nie tylko dla innych wokół, ale i dla mnie samego. Dlatego myślę, że te studia dobrze przygotowały mnie do tego, abym sobie poradził samodzielnie w zawodzie.

A kiedy trafiłeś na filmowy plan?

Musiałem się uczyć na bieżąco. Zacząłem z wysokiego C, bo zadebiutowałem w słynnym filmie „Miasto 44". Początkowo kompletnie nie wiedziałem, o co tam chodzi, ale całe szczęście znalazłem się w doborowym towarzystwie. Bardzo mi pomógł Tomek Schuchardt, Antek Królikowski, Maurycy Popiel, Ania Próchniak czy Zosia Wichłacz. Wszyscy dzielili się swoją wiedzą, zresztą realizatorzy na czele z Jankiem Komasą dawali nam duże poczucie bezpieczeństwa. Musiałem się sporo nauczyć na tym planie, ale byłem w dobrych rękach i nie miałem żadnych nieprzyjemnych sytuacji.

Popularność przyniosły ci występy w serialach, takich jak „M jak miłość", „Dzielnica strachu" czy „Pierwsza miłość". Co sprawiło, że skoncentrowałeś się na telewizji, a nie na kinie czy teatrze?

eprasa.pl 9381f2cf8a

Trochę to samo tak wyszło. Biorąc udział w jakimś projekcie, nie do końca wiem, jak on się dalej potoczy. W „Pierwszej miłości" miałem być tylko na trzy miesiące, ale tak mi się tam spodobało, że samoistnie wyszło, iż zostaję. I jestem z tego bardzo zadowolony. Dlatego moja kariera nie toczy się dokładnie tak, jakbym sam tego chciał, bo ma na nią wpływ wiele zewnętrznych czynników. Cieszę się jednak z tego jak wygląda, choć czasem decydują o tym okoliczności, w które wchodzę, a które niekoniecznie sam stwarzam.

Czyli chcesz grać nie tylko w telewizji, ale też w kinie i w teatrze?

Bardzo sobie cenię różnorodność, jaką prezentowali polscy aktorzy w dwudziestoleciu międzywojennym. W filmie „Wacuś" z 1935 roku Adolf Dymsza gra, tańczy, śpiewa, stepuje, a nawet jeździ tyłem na rowerze. (śmiech) Kiedy to zobaczyłem, pomyślałem „Ja też tak chcę!". Niestety, nie ma teraz takich filmów czy seriali, które dają takie możliwości. Dlatego bardzo lubię chwytać się nie tylko kina czy telewizji, ale też rozrywki. Stąd mój udział w „Twoja twarz brzmi znajomo" czy „Tańcu z gwiazdami". Gram zarówno w serialach codziennych, jak i w tych premium. Bardzo lubię też teatr i wracam do niego zawsze z poczuciem, że to coś szlachetnego. To nie jest więc tak, że u progu kariery konkretnie zdecydowałem, jak ma ona wyglądać, tylko na różnych etapach życia chwytam różne okazje. Staram się przez to korzystać w pełni ze swojego zawodu.

Za rolę w „Dzielnicy strachu" dostałeś Telekamerę. To najciekawsza rola w twojej biografii?

Moim zdaniem nie. (śmiech) Nie umiem wskazać, która rola była najciekawsza. „Dzielnica strachu" pozwoliła mi pokazać się od innej strony niż dotychczas. Być może wstrzeliłem się nią w to, jak postrzegają mnie widzowie. I postanowiono mnie za to docenić. Tak naprawdę miałem wiele ciekawych ról, bardzo dobrze wspominam „Lekarzy" czy trzeci sezon „Watahy". Tam dobierałem zupełnie inne środki, by zbudować te postaci. Kiedy więc mnie pytasz o najciekawszą rolę, mam ochotę wybronić się klasycznym stwierdzeniem: „To ta, która jest jeszcze przede mną". (śmiech)

Taka regularna praca w serialach na pewno pomaga szlifować warsztat aktorski. Odczuwasz to po sobie?

Oczywiście. Codzienne seriale to świetne laboratorium dla aktora. Zwłaszcza dla tych młodych, ale nie tylko, bo ja też ciągle z tego korzystam. Najlepsze, co możesz zrobić w pracy to błąd, bo on nas rozwija. Ja się lubię uczyć w ten sposób, ale w filmie jest z tym trudniej. To tylko półtorej czy dwie godziny i każdy błąd jest łatwo zapamiętywany. Mało jest więc tu przestrzeni na to, żeby się potknąć. Natomiast w codziennym serialu, kiedy się zrobi błąd w 3920 odcinku, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że w 3928 odcinku już nikt nie będzie o tym pamiętał. (śmiech)

Takie codzienne seriale dają aktorowi również cenne poczucie finansowego bezpieczeństwa.

Tak. O „Pierwszej miłości" mówię nawet, że to mój etat. (śmiech)

W zeszłym roku wszyscy podziwialiśmy cię w „Tańcu z gwiazdami". Co cię skusiło, aby wystąpić w tym show?

Zaproszenie. Bardzo dawno temu dostałem propozycję castingu do „Barw szczęścia". To był czas, kiedy w aktorskim środowisku krążyła opinia, że gdy gra się w codziennym serialu, to się ulega zaszufladkowaniu i nie dostanie się gdzie indziej pracy. Zadzwoniłem wtedy do legendarnej reżyserki obsady Marty Kownackiej i spytałem ją co robić. A ona odpowiedziała: „Filip, żeby coś stracić, trzeba to najpierw mieć". (śmiech) To była dla mnie pouczająca lekcja pokory: bo martwiłem się czymś, czego jeszcze nie miałem. I co ciekawe, przegrałem ten casting i nie dostałem tej roli. (śmiech)

Jak to się ma do „Tańca z gwiazdami"?

Tu było podobnie. Już od pewnego czasu były zakusy na mój udział w tym show. W końcu pojawiła się konkretna propozycja, a ja byłem na nią gotowy mentalnie, a do tego znalazło się miejsce w kalendarzu i zgrało się to finansowo. Wszystko ładnie się złożyło, pomyślałem więc: „Dlaczego miałbym tego nie wziąć?". I dzisiaj nie żałuję, bo był rodzaj przygody życia. To poligon doświadczalny, którego się nie zapomina.

Okazało się, że świetnie tańczysz. Miałeś wcześniej takie doświadczenia?

Dawno temu chodziłem na naukę tańca towarzyskiego, ale byłem wtedy dzieckiem i rodzice zapisali mnie, abym łatwiej zasypiał w nocy. (śmiech) Zajęcia były niedaleko od nas w domu kultury, ale dosyć późno i kiedy wracałem, od razu padałem na łóżko. Spodobało mi się jednak i aż dwa lata chodziłem na te tańce. Potem odpuściłem na rzecz innych sportów. Dlatego na parkiecie „Tańca z gwiazdami" bardzo mnie ucieszyło, że odkryłem w sobie w wieku 35 lat naturalny dryg do tańca. Polecam wszystkim coś takiego! To duża przyjemność.

Całe życie uprawiasz sport. To pomogło ci na parkiecie?

Tak. W tańcu dużo ważniejsza od kondycji, którą da się łatwo wyćwiczyć na półtoraminutowe występy, jest jednak koordynacja i muzykalność. A to zawdzięczam rodzicom, szczególnie mamie, która grała na skrzypcach wszystko: od Paganiniego, przez Mozarta, nawet po Beatlesów. Tata z kolei śpiewał i grał na gitarze. To dzięki nim w dużym stopniu udało mi się tak daleko zajść w tym show.

Twoją partnerką była Agnieszka Kaczorowska, która znana jest ze swego perfekcjonizmu. Dawała ci w kość?

Nie miała litości. (śmiech) Agnieszka ma mental zwycięzcy, stąd treningi z nią potrafiły być karkołomne. Na tyle, że czasem już w połowie dnia leżałem wykończony na parkiecie, a ona czekała aż się zbiorę. Kiedy indziej znowu, gdy odpoczywałem, ona potrafiła sama ćwiczyć, mimo że przecież umie świetnie tańczyć. To było dla mnie imponujące, że potrafi tak dużo od siebie wymagać. Łatwiej mi było przez to zrozumieć, że tyle wymaga ode mnie.

Wiele osób typowało was na zwycięzców – ale skończyło się na drugim miejscu. Byłeś rozczarowany?

Nie. To, co miałem wygrać, to wygrałem. Oczywiście pojawiały się myśli, że trochę szkoda. Ale nie były intensywne i nie przykrywały mi radości z udziału w tym programie. Świetnie się tam bowiem bawiłem. Przegraliśmy z Jackiem Jeschke i Marysią Jeleniewską i to właśnie ich obstawiałem od początku, że wygrają, bo świetnie tańczyli, do tego Marysia miała bardzo dużo ludzi za sobą już na samym wstępie. Nie byłem więc ani zdziwiony, ani rozgoryczony, że przegraliśmy.

Ostatnio oglądaliśmy cię w „Kocham cię, Polsko!" jako kapitana jednej z drużyn. To też było trochę aktorskie zadanie?

Poszedłem do tego programu jako Filip Gurłacz. Dlatego starałem się być autentyczny i nie grać kogoś, kim nie jestem. Ale aktorstwo było mi bardzo pomocne – choćby sama świadomość, że ludzie na mnie patrzą, a kamery kręcą. Co z tego, że swędzi mnie nos – jako Filip od razu bym się podrapał, ale jako Filip w telewizji, starałem się zachować dyscyplinę i koncentrację. Musiałem być przecież trochę gospodarzem i odpowiednio ugościć ludzi ze swojej drużyny, żeby czuli się komfortowo i też dobrze się bawili.

Ten program ma mocno energetyczną formułę. Dużo jest w nim śpiewu, gadania, a nawet krzyku. Jak się w tym odnalazłeś?

Pijesz do Miśka Koterskiego?

Dokładnie. (śmiech)

Ja go uwielbiam. Chociaż pojawiły się zarzuty, że jest za głośno, to ja tego w ogóle nie odczuwałem. Może dlatego, że jestem przyzwyczajony do Michała: znamy się i wiem, jak on funkcjonuje. Mnie to nie przeszkadza, ja to kupuję, bo on jest autentyczny. Do tego jest fajnym chłopakiem i ma serce po właściwej stronie mocy. Jasne – to potrafiło być momentami trochę męczące, ale ogólnie sprawdzało się na ekranie. Dla mnie najważniejsze było stworzyć fajną drużynę, która umie dogadać się ze sobą, bo wiedziałem, że jeśli znajdziemy dobre porozumienie z Michałem i z Marzeną Rogalską, to będzie dobry program. Niby rywalizowaliśmy więc, ale całościowo działało to bez zarzutu. Czułem się tam więc bezpiecznie, nie miałem żadnego dyskomfortu pracy.

„Taniec z gwiazdami" i „Kocham cię, Polsko!" dały ci wielką rozpoznawalność. Jak się odnajdujesz w tym zamieszaniu wokół swojej osoby?

Nie czuję tego jakoś bardzo na co dzień. Prowadzę normalne życie w swoim domu ze swoją rodziną. Czasem tylko bywa to zabawne. Niedawno byliśmy za granicą i kiedy nagle spotkaliśmy Polaków w jakimś piętnastowiecznym miasteczku, to oni od razu rzucili się do robienia ze mną zdjęć. Mówię im wtedy: „Te mury mają ponad pięćset lat! Na pewno wolicie fotografować się z Filipem Gurłaczem?". To było dla mnie trochę dziwne. Brałem to jednak pod uwagę, idąc do tego zawodu, spodziewałem się więc, że to może tak wyglądać. Lubię ludzi i gdybym nie lubił, to pewnie nie byłbym aktorem. Lubię z nimi przebywać, rozmawiać, dawać im radość. Jeśli więc mogę kogoś ucieszyć wspólnym zdjęciem, to nie postrzegam tego w kategoriach uciążliwości.

Gorsze chyba jest zainteresowanie ze strony plotkarskich mediów. Musieliście zmierzyć się z tym z żoną podczas „Tańca z gwiazdami".

Jakoś sobie poradziliśmy. Te media żyją z tego, że szukają różnych sensacji. Poznałem kilka osób, które pracują w tych portalach i gazetach – i okazało się, że są to bardzo porządni ludzie, którzy mają swoje historie, często niełatwe. Rozumiem jednak, że tym się rządzi show-biznes. Ja nie mógłbym pracować w ten sposób, ale wiem, iż ludzie kochają ploteczki, więc ktoś im musi je dostarczać. A że niewiele w nich prawdy – to już inna sprawa. Przez chwilę było to dla mnie uciążliwe i nie było łatwo, bo musiałem poświęcić trochę więcej energii na gaszenie pożaru w ludziach, których kocham. Całe szczęście okazało się, że plotki dotyczące mojej osoby nie mają zbyt dużego pola rażenia, żeby komuś popsuć życie. Udało nam się więc w miarę bezboleśnie przez to przejść.

Jesteście z Małgosią oboje aktorami. To dobrze?

Na pewno daje nam to dodatkowe poczucie bliskości. Możemy porozmawiać o tym, co kochamy i rozumiemy. Często radzę się żony, kiedy mam coś zagrać, ona jest moim pierwszym widzem i krytykiem, lustrem, w którym lubię się przeglądać. Pomaga mi to, że Gosia zna zawód aktora i szuka podobnych rzeczy jak ja.

Podobno wspólnie śpiewacie i występujecie. Skąd taki pomysł?

Po prostu lubimy to robić. Ostatnio mało czasu spędzamy razem przez moje zajętości, więc wpadliśmy na pomysł, aby wspólnie pośpiewać dla innych. Na razie nie było tych występów dużo, bo dopiero zaczynamy.

Co śpiewacie?

To zależy od zapotrzebowania i publiczności. Staramy się dobierać repertuar indywidualnie. Jeśli widownia jest młodsza, to szukamy czegoś bardziej aktualnego i rozrywkowego, a jeśli starsza – to pozwalamy sobie na coś sentymentalnego. Sięgamy po Niemena, Wodeckiego, Kabaret Starszych Panów, a nawet po piosenki z dwudziestolecia międzywojennego. Jest co wybierać.

Macie dwóch synów. Ojcostwo bardzo cię zmieniło?

Oczywiście. Rodzicielstwo to skomplikowanie sobie życia przez nadanie mu sensu. Postawiłem tę tezę, kiedy urodził się mój pierwszy syn, a kiedy urodził się drugi – tylko się w tym utwierdziłem. Dzięki ojcostwu przewartościowałem swoje życie. Może gdybym nie był tatą, to nadal bym ostro imprezował, nadal bym pił i palił. Kiedy na świecie pojawili się moi synowie, wszystko to znikło z mojego życia. Wziąłem za nie odpowiedzialność, bo chcę być dla nich dobrym tatą.

Wiele lat temu tata poradził ci, abyś wybrał aktorstwo na swój zawód. Ty też poradzisz je kiedyś swoim synom?

Przede wszystkim chciałbym, żeby byli przyzwoitymi i dobrymi ludźmi. Szanującymi drugiego człowieka i mającymi szlachetny kierunek w swym życiu. Natomiast to, czy będą artystami czy też nie, to już dla mnie drugorzędna sprawa. Na pewno jednak, jeśli jeden lub drugi z moich synów przyjdzie do mnie i powie: „Tato, chciałbym być aktorem", to zrobię wszystko, aby mu pomóc.

eprasa.pl 9381f2cf8a

HISTORIA

Jak rząd Bolesława Bieruta zrzekał się reparacji wojennych od Niemiec

23 sierpnia 1953 roku rząd Bolesława Bieruta oświadczył, że rezygnuje z reparacji wojennych od Niemiec. Konkretnie od NRD, bowiem z RFN nie utrzymywaliśmy relacji dyplomatycznych. Ta decyzja do dziś wzbudza emocje

Mariusz Grabowski

„Biorąc pod uwagę, że Niemcy zadośćuczyniły już w znacznym stopniu swoim zobowiązaniom z tytułu odszkodowań (...) rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej powziął decyzję o zrzeczeniu się z dniem 1 stycznia 1954 roku spłaty odszkodowań na rzecz Polski" – głosi dokument. To wtedy zaczął się obecny polsko-niemiecki repatriacyjny galimatias.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Od lewej prezydent Bolesław Bierut, premier Józef Cyrankiewiczi wicepremier Hilary Minc

Zamknięcie kwestii

Dlaczego w ogóle doszło do rezygnacji z reparacji? Większość historyków uważa, że stało się to za sprawą nacisków ZSRR. A te z kolei były skutkiem wydarzeń z czerwca 1953 r., gdy na ulicach największych miast Niemieckiej Republiki Demokratycznej – Berlina, Magdeburga, Lipska i Drezna – krwawo stłumiono społeczne protesty. Zginęło wówczas kilkuset protestujących, a tysiące aresztowano.

Niemiecki bunt przeciw trudnej sytuacji gospodarczej i okupacji radzieckiej uświadomiły najwyraźniej rządzącym na Kremlu, że trzeba uspokoić gorące nastroje w „bratnim państwie niemieckim". Sugestia o rezygnacji wyszła zapewne od Waltera Ulbrichta, przewodniczącego rady państwa NRD, a przedstawił ją Otton Grotewohl, premier, który akurat w sierpniu przebywał w Moskwie.

Rosjanie pomysł zaakceptowali i 22 sierpnia 1953 r. ZSRR zawarł z NRD umowę dotyczącą „zamknięcia kwestii reparacyjnych ze strony Niemiec". Oświadczenie polskiego rządu było naturalną konsekwencją decyzji Rosjan. Co tylko potwierdza tezę, że większość decyzji w kwestii polityki zagranicznej PRL zapadała w Moskwie.

Transakcja wiązana

Zgodnie z powojennymi porozumieniami Polska miała otrzymać 15 proc. z reparacji płaconych przez NRD ZSRR. Niemcy mieli spłacić Rosjan sumą 10 mld dolarów (według cen z 1939 r.), rozłożoną na 15 lat. Po drodze, w 1950 r., kwotę dla Polski zmniejszono o połowę – do 7,5 proc.

W praktyce jednak z sowieckiej strefy okupacyjnej Niemiec, a od 1949 r. z NRD, PRL otrzymała reparacje w produktach i towarach wartych ok. 230 mln dolarów. Dostaliśmy urządzenia, maszyny i wyposażenie techniczne, np., 2,5 tys. motocykli BMW 250, pewną liczba wagonów kolejowych czy chemikalia dla przemysłu. Czasami były to dobra dość wątpliwej wartości, np. w 1949 r. Polska otrzymała siedem mln wydrukowanych po polsku w niemieckich drukarniach luksusowych wydań dzieł Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina.

Jednocześnie według polsko-radzieckiej umowy handlowej warunkiem dostarczania reparacji niemieckich była sprzedaż Związkowi Radzieckiemu polskiego węgla po cenach kilkakrotnie niższych od rynkowych. Oblicza się, że dostarczając Rosjanom ponad 50 mln ton węgla, straciliśmy w wyniku tej transakcji wiązanej ok. 700 mln dolarów, czyli trzy razy więcej niż wyniosła wartość otrzymanych reparacji.

„Bez skutków prawnych"

Pojawia się pytanie, czy w świetle pozycji Polski wobec ZSRR rezygnacja z reparacji w 1953 r. była w ogóle wiążąca. Przeciwnicy tej opinii, np. prof. Andrzej Zawistowski, specjalista od dziejów gospodarczych i społecznych Polski, podnoszą argument, że „Rząd Bieruta był jedynie ich wykonawcą i nie miał jakiejkolwiek samodzielności decyzyjnej", a co za tym idzie jego akty prawne nie niosły za sobą „skutków prawnych".

Podobnie uważał zmarły w 2018 roku prof. Jan Tadeusz Sandorski, spec od prawa międzynarodowego. „Oświadczenie jest nieważne ab initio – od samego początku. Nie było ważne wtedy, nie jest ważne teraz i nie będzie ważne w przyszłości" – pisał. Kwestią decydującą o nieważności aktu sprzed 73 lat, z prawnego punktu widzenia, byłby „przymus polityczny i ekonomiczny, pod którym znajdował się rząd PRL w momencie wydania tego oświadczenia".

Nie brak też głosów, że deklaracja została wydana po prostu niezgodnie z obowiązującym wówczas w Polsce prawem. Według konstytucji PRL-u z 1952 r. zawieranie i ratyfikacja umów międzynarodowych nie były kompetencją rządu, lecz Rady Państwa. Jest też bardzo prawdopodobne, że tego posiedzenia rządu, na którym miano przyjąć ten dokument, w ogóle nie było.

Co z tym węglem?

Problem w tym, że w 1953 r. decyzja pociągnęła za sobą realne i długoterminowe skutki prawne, dyplomatyczne i finansowe. Usuwając w cień np. takie kwestie, czy rząd PRL negocjował z Moskwą swoją decyzję, czy też nie. Wspomniany prof. Sandorski dowodził, że Polakom zapewne po prostu zakomunikowano, co mają zrobić.

Skutki tamtej decyzji zaistniały faktycznie, co doskonale widać na przykładzie wspomnianego już węgla. Po zrzeczeniu się reparacji od NRD ZSRR zwolnił PRL od płacenia tego przymusowego kontyngentu (co rząd polski przyjął „z wdzięcznością"), a ówczesny wicepremier Tadeusz Gede otrzymał pełnomocnictwo do negocjacji nowej umowy, która miała opierać się już na bardziej realnych zasadach.

Sprawę uregulowano jednak dopiero w 1957 r. podczas negocjacji moskiewskich, na których przyjęto tzw. opcję zerową. Uznano, że straty poniesione przez Polskę w związku z „nieekwiwalentnym" eksportem węgla zniwelowały jej zadłużenie z tytułu kredytów udzielonych przez ZSRR.

Bez porozumienia

Po 1953 r. kwestia reparacji ze strony NRD została niejako „zamrożona". W przeciwieństwie do reparacji ze strony Republiki Federalnej Niemiec, z którą PRL oficjalnie nawiązał relacje dyplomatyczne dopiero 14 września 1972 r. „Gdy dwa lata wcześniej kanclerz Willy Brandt przyjechał do Warszawy, przywiózł z sobą kilka propozycji rozwiązania kwestii reparacji wojennych dla Polski, lecz z żadnej z nich nie skorzystał" - twierdzi prof. Zawistowski. Co może świadczyć, że dla RFN sprawa była dość niewygodna politycznie.

Można więc zapytać: czy stosunki dyplomatyczne PRL utrzymywane w 1953 r. jedynie z NRD wystarczały, by rezygnacja z reparacji objęła mocą także drugie państwo niemieckie? Jeśli przyjąć ustalenia Wielkiej Trójki z 1945 r., wedle których „każda ze stron będzie egzekwować roszczenia reparacyjne tylko w swojej strefie okupacyjnej Niemiec", prawo Polski do reparacji od RFN są zasadne – nawet gdy ZSRR już nie istnieje, a Niemcy zostały zjednoczone.

Tłumaczyłoby to, dlaczego niemieccy dyplomaci w czasie podpisywania 7 grudnia 1970 r. układu między PRL a Republiką Federalną Niemiec „o podstawach normalizacji ich wzajemnych stosunków" tak usilnie życzyli sobie wpisania w tekst dokumentu deklaracji o rezygnacji Polski z reparacji wojennych, podobnie jak my kwestii nienaruszalności granic.

Odszkodowania

Sprawę komplikuje dodatkowo wątek tzw. odszkodowań indywidualnych. W rozmowie przeprowadzonej przez Władysława Gomułkę z kanclerzem RFN Willy Brandtem 7 grudnia 1970 r. I sekretarz KC PZPR stwierdził m.in., że „(...) rząd polski jeszcze w 1953 r. zrzekł się reparacji wobec Niemiec jako całości, a więc również wobec NRF. Do tej sprawy powracać nie będziemy niezależnie od tego, jak patrzelibyśmy na nią obecnie. Pozostał jednak nierozwiązany problem odszkodowań, który nie jest równoznaczny z reparacjami".

W ówczesnych wyliczeniach strony polskiej łączna suma odszkodowań opiewała na kwotę 180 mld marek. Nikt na serio nie sądził, że taka kwota byłaby możliwa do wyegzekwowania, dlatego Gomułka zaproponował, by zamiast niej rząd RFN udzielił Polsce kredytu w wysokości 10 mld marek na określony czas. Byłby to kredyt nieoprocentowany lub oprocentowany nie wyżej niż dwa procent, a różnicę między tą stopą procentową a stopą rynkową pokryłby rząd RFN.

Jak pisze Mieczysław Stolarczyk w tekście „Reparacje wojenne dla Polski od Niemiec w latach 1945-2020), dwa lata później, w 1972 roku, Polska faktycznie otrzymała 100 milionów marek „na rzecz ofiar pseudomedycznych eksperymentów dokonywanych na obywatelach polskich przez Niemców w czasie wojny światowej", ale kwestię reparacji pominięto.

eprasa.pl 9381f2cf8a

CZYTELNIA

Daphne obserwuje Regent's Park

O Daphne Du Maurier (1907-1989) – angielskiej pisarce, autorce powieści i opowiadań – mało kto dzisiaj pamięta, ale swego czasu była to postać niezwykle popularna. Jej fabuły pełne są psychologicznej głębi i niepokojącego klimatu, co szczególnie pociągało filmowców.

W 1940 r. Alfred Hitchcock za „Rebekę", film na podstawie jej książki, dostał Oscara, a w 1963 r. zrealizował „Ptaki". Z kolei w 1973 r. Nicolas Roeg wziął na warsztat jej „Nie oglądaj się teraz" i zrobił całkiem niezły film. Kto oglądał, na pewno pamięta świetne role Julie Christie i Donalda Sutherlanda, zagubionych w meandrach Wenecji.

Jak jednak wyglądało życie kobiety, która stworzyła tak ikoniczne dzieła? Tatiana de Rosnay, akademiczka i specjalistka w dziedzinie literatury angielskiej, podjęła się zadania stworzenia intymnego i kompleksowego portretu tej niezwykłej pisarki. Z precyzją odtworzyła barwne dzieciństwo Du Maurier, lata jej nastoletniego buntu, okres intensywnego rozwoju pisarskiego, a następnie skupia się na zawiłościach jej życia uczuciowego.

Spod pióra autorki wyłania się obraz intrygującej, pełnej sprzeczności i poczucia dumy kobiety, która mimo swej sławy, długo czekała na uznanie w kręgach akademickich. **grab**

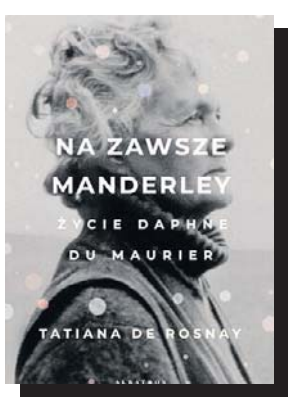

Tatiana De Rosnay, „Na zawsze Manderley. Życie Daphne Du Maurier", wyd. Albatros, Warszawa 2026, cena 59,90 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

Ewa Chodakowska

Musi wszystko przemyśleć

Od wielu tygodni mąż celebrytki nie pojawia się w jej mediach społecznościowych. Mało tego: Chodakowska pochwaliła się niedawno, że była na pierwszych wakacjach od lat bez Lefterisa Kavoukisa. To wywołało naturalne spekulacje o rozwodzie pary. – Faktycznie, ich relacja od jakiegoś czasu przechodzi kryzys. Natomiast z wzajemnego szacunku do siebie i swojego związku, postanowili dać sobie czas, żeby odpocząć i złapać perspektywę. Żadne ostateczne decyzje jeszcze nie zapadły – powiedziała Pudelkowi osoba z otoczenia pary. I dodała: – Ich małżeństwo zaczęło już dawno schodzić na drugi plan względem biznesów, aż w końcu Ewa uznała, że musi to wszystko przemyśleć.

Michał Wiśniewski

Spakował swój dobytek

Lider zespołu Ich Troje jest aktualnie w trakcie rozwodu ze swą piątą żoną. W międzyczasie gruchnęła wiadomość, że ponownie zapłonął uczuciem do swej drugiej żony – Mandaryny. Jak na razie zakochani w sobie byli małżonkowie mieszkali osobno. Teraz sytuacja prawdopodobnie się zmieni. W mediach społecznościowych firmy zajmującej się przeprowadzkami pojawił się film pokazujący pakowanie dobytku Wiśniewskiego. Lider Ich Troje zaprezentował liczne pamiątki związane z historią zespołu i uwiecznił stojące na półce dokumenty ze swej działalności biznesowej. Przy okazji odsłonił wnętrza dotychczasowego domu. „Miałem powiedzieć przeprowadzka. Ale nie, to za małe słowo. Jeżeli przenosisz nie tylko rzeczy, ale cały swój świat, to nie oddajesz tego przypadkowi. To relokacja" – napisał.

Anna Lewandowska

Jechała w japonkach

Celebrytka ledwo rozpakowała walizki w USA, a już wybrała się na babski wypad do Kolumbii. W fotorelacji na Instagramie widzimy, jak uśmiechnięta od ucha do ucha spaceruje po latynoskiej metropolii na tle kolorowych murali, odziana jedynie w wielobarwną górę od bikini i zwiewne spodnie. Na innych zdjęciach prezentuje się z kolei w motocyklowym kasku i neonowych okularach, mając za sobą nocną panoramę miasta. Lewandowska zaliczyła też jazdę na quadzie po piaszczystej drodze, mając na stopach... japonki. Nie zabrakło również fotografii pokazujących lokalne przysmaki, którymi celebrytka raczyła się podczas wyjazdu.

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Małgorzata Socha pojawiła się z całą rodziną na campingu w Chałupach. Stamtąd wspólnie wybierali się na pobliskie plaże

Małgorzata Socha

Świętowała urodziny córki

Podczas, gdy inne gwiazdy rodzimego show-biznesu wybierają się na urlop do egzotycznych krajów, popularna aktorka pojawiła się z całą rodziną na campingu w Chałupach. Na pamiątkowych zdjęciach, zamieszczonych na Instagramie, pozuje z mężem i z dziećmi na nadbałtyckiej plaży. Wyjazd okazał się dla Sochy nie tylko okazją do resetu od zawodowych obowiązków, ale także miejscem wyjątkowego świętowania. To właśnie na campingu odbyły się 13. urodziny jej starszej córki Zosi. Dumna mama zadbała o to, aby ten dzień miał niepowtarzalną oprawę – na jubilatkę czekał czekoladowy tort z urodzinowymi dekoracjami, świeczkami i obowiązkowym „Sto lat". Na zamieszczonym w internecie zdjęciu widać, jak aktorka czule całuje córkę, trzymając w rękach słodką niespodziankę.

Marcin Prokop

Ma już zajęte serce

W kwietniu media obiegła informacji o rozwodzie popularnego dziennikarza z żoną. Była partnerka dziennikarza zdążyła już ponownie odnaleźć szczęście w miłości i na jej Instagramie pojawiają się pierwsze wzmianki na temat ukochanego. Teraz magazyn „Życie na gorąco" obwieścił, że również serce Prokopa jest już zajęte. – Marcin od kilku miesięcy z kimś się spotyka. Są rówieśnikami, choć partnerka Marcina wygląda na dużo młodszą. Świetnie się rozumieją, bo oboje są ludźmi mediów. Oboje też kochają podróże, historię i dobre kino – mówi informator magazynu. Nowa wybranka Marcina Prokopa to ponoć jedna z najbardziej wpływowych kobiet w polskich mediach.

Jacek Kawalec

Stanie przed sądem

Popularny aktor od 2022 roku śpiewał w grupie Budka Suflera. Nie zrezygnował jednak z solowych występów scenicznych. Podczas jednego z nich sparodiował specyficzną manierę wokalną Zenka Martyniuka. Nie spodobało się to aktualnemu liderowi zespołu – Tomaszowi Zeliszewskiemu. Perkusista w oficjalnym oświadczeniu odciął się od występu Kawalca i przeprosił króla disco-polo. Na takie postawienie sprawy Kawalec obwieścił, że opuszcza Budkę Suflera. O aferze zrobiło się głośno i jej echa dotarły do Martyniuka. Kiedy piosenkarz zobaczył w internecie występ Kawalca, aż się w nim zagotowało. – To nie jest parodia, tylko oczernianie mojej osoby na całą Polskę, a nawet na cały świat. Mój adwokat jest teraz na wakacjach, ale gdy wróci, to na pewno złożymy pozew – powiedział Wirtualnej Polsce.

Sara James

Zna ten stres

Osiemnastoletnia piosenkarka niedawno zdała maturę. To jednak niejedyne wielkie wydarzenie w jej życiu w obecnym czasie. W miniony poniedziałek podczas rozmowy z RMF FM poinformowała, że została nową jurorką „The Voice Kids". – To jest dla mnie ogromne wyróżnienie. Z tego, co czytałam, jestem najmłodszą trenerką na świecie. Nie mogę się doczekać, aż poznam tych utalentowanych ludzi – przyznała. I dodała: – To, że uczestnicy są ode mnie niewiele młodsi, może być na plus i spowodować, że nasza „przelota" będzie jeszcze mocniejsza. A to, że byłam uczestniczką tego programu, wiem jaki to jest stres, pamiętam te emocje, więc wydaje mi się, że będzie mi się nawet trochę łatwiej komunikować. **Paweł Gzyl**

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Dziś postaw na odwagę i działanie. Horoskop dzienny zapowiada, że szansa na sukces pojawi się szybciej, niż myślisz.

Ryby (19.02 - 20.03)
Spokojne tempo będzie Twoim sprzymierzeńcem. Horoskop na dziś to wskazówka, by nie podejmować decyzji pod presją innych.

Baran (21.03 - 19.04)
Zadbaj o odpoczynek i bliskie osoby. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że szczera rozmowa przyniesie Ci ukojenie.

Byk (20.04 - 20.05)
Twoja pewność siebie przyciągnie uwagę innych. Horoskop dzienny radzi wykorzystaj ją mądrze i pokazać światu swoje talenty.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)
Drobne sprawy wymagają sporej cierpliwości. Horoskop na dziś przypomina, że nie wszystko musi być perfekcyjne...

Rak (22.06 - 22.07)
W relacjach zapanuje więcej harmonii. Horoskop dzienny na piątek stanowczo sugeruje powiedzieć wprost, czego pragniesz.

Lew (23.07 - 22.08)
Intuicja podpowie Ci właściwe rozwiązanie. Horoskop dzienny radzi unikać pochopnych osądów.

Panna (23.08 - 22.09)
Konsekwencja zacznie przynosić efekty. Horoskop na dziś sugeruje skupić się na jednym celu.

Waga (23.09 - 22.10)
Niespodziewana wiadomość poprawi Ci humor. Horoskop dzienny na piątek radzi otwartość na zmiany.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Dziś szczególnie mocno odczujesz własną intuicję. Horoskop dzienny podpowiada, by poświęcić chwilę ciszy i usłyszeć siebie.

Strzelec (22.11 - 21.12)
Czeka Cię ciekawa rozmowa, która otworzy nowe możliwości. Horoskop na dziś radzi z tego skorzystać.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że nowy pomysł nada Twojemu dniu wyjątkowy kierunek.

eprasa.pl 9381f2cf8a

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH

Skradzione dane medyczne

W przychodniach, laboratoriach analitycznych, szpitalach i gabinetach lekarskich widzimy coraz więcej komputerów. Dzięki temu dane pacjenta trafiają wprost na ekran lekarza, a jego zalecenia są natychmiast widoczne w miejscach, gdzie mają być realizowane.

W przeszłości osoby zainteresowane zastosowaniami komputerów w medycynie zapraszałem do mojej książki „Informatyka medyczna", dostępnej w internecie od 2011 r. Książka ta, udostępniona między innymi w serwisie „Otwórz książkę", była pobierana przez ponad 128 tysięcy czytelników, więc widać, że temat był już wtedy „gorący". Ale teraz oczywiście wiadomości zawarte w tej mojej książce mocno się zdezaktualizowały, a temat stał się jeszcze gorętszy. Jest bowiem także ciemna strona informatyki w medycynie. Chodzi o kradzieże danych o pacjentach.

Włamania do komputerów były (i są!) zmorą XXI wieku. Najgroźniejsze są dla systemów bankowych. Przełamanie barier ochronnych w tych systemach skutkuje kradzieżą pieniędzy, a także defraudacją danych klientów – na przykład numerów ich krat kredytowych. Podobnie „łakomym kąskiem" dla hakerów są komputery wielkich korporacji przemysłowych, z których można ukraść informacje na temat ich planów strategicznych, a także stosowanych technologii.

Ale dane medyczne? Okazuje się, że także one mają dla złodziei dużą wartość. W odróżnieniu od danych bankowych są one niezmienne. Po komputerowym włamaniu do banku zmienia się natychmiast dane i blokuje karty. Natomiast nie da się zmienić danych osobowych pacjentów ani zablokować ich chorób. Złodziej może z tego zrobić dowolny użytek!

Prof. Koczkodaj z Laurentian University, z którym w 2020 roku współpracowałem naukowo, opublikował w tamtym czasie wynik badań włamań do systemów medycznych w USA. Okazuje się, że w okresie od 2009 do 2017 roku wykradziono tam sumarycznie 173 398 820 kompletów danych o pacjentach. I to w USA, gdzie o bezpieczeństwo danych cyfrowych dba się bardzo skrupulatnie!

W Polsce przez długi czas temat ten nie istniał. Oczywiście ciągle słyszeliśmy o włamaniach do różnych systemów informatycznych, ale narażony był głównie szeroko rozumiany biznes. Bywały też ataki na prywatne komputery, ale skala tych przestępstw była raczej ograniczona.

Tymczasem ostatnio wybuchła afera związana z wyciekiem wrażliwych danych medycznych około 19 milionów Polaków przechowywanych w systemach firmy MyDr. Ukradzione dane medyczne dotyczą zarówno pacjentów prywatnych gabinetów medycznych (12 tysięcy placówek!) jak i NFZ. Szacuje się, że wykradziono 2,5 terabajta danych. Dla osób mających mniej doświadczenia w obcowaniu z dużymi systemami informatycznymi wyjaśniam, że naprawdę dużo danych. Terabajt to ponad tysiąc gigabajtów (dokładnie 1024), a gigabajt to ilość informacji odpowiadająca w przybliżeniu jednemu filmowi pełnometrażowemu albo stu tysiącom zdjęć wysokiej jakości. Zwykły tekst to zaledwie około 2 kilobajty na stronę, więc ukradziono równoważność ponad miliarda stronic tekstu!

Rząd podszedł do afery bardzo poważnie. Minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski zwołał w tej sprawie pilne posiedzenie sztabu kryzysowego. Nie ulega wątpliwości, że ten kryzys zostanie opanowany. Sprawy cyberbezpieczeństwa w Polsce są w fachowych i odpowiedzialnych rękach.

Ale kradzież danych z systemów MyDr powinien być potraktowany jako ostrzeżenie. Jest to pierwsza, ale zapewne nie ostatnia afera związana z „wyciekiem" danych medycznych. Dlatego, podając w przyszłości swojej dane w przychodni czy szpitalu, pytaj o to, jak będą one zabezpieczone. Bo nie chcesz, żeby informacje o Twoich chorobach czy przebytych leczeniach stały się znane Twojemu pracodawcy i były publicznie komentowane!

Włamania do komputerów były (i są!) zmorą XXI wieku. Najgroźniejsze są dla systemów bankowych, bo skutkują kradzieżą pieniędzy

RYSZARD TADEUSIEWICZ
profesor AGH

HUMOR

Przychodzi facet do lekarza i mówi:
– Panie doktorze, tak mnie strasznie wątroba boli!
Na to lekarz:
– A pije pan?
– Piję, ale to nie pomaga!

●

– Tato, chcę się ożenić z Basią.
– Przeproś.
– Co?
– Przeproś!
– Ale za co?
– Nieważne, przeproś.
– Ale o co chodzi?
– Przeproś!
– Daj mi chociaż jakiś powód...
– Po prostu przeproś.
– No dobra. Przepraszam.
– OK, skoro jesteś w stanie przeprosić bez żadnego powodu, to faktycznie jesteś gotowy na małżeństwo.

●

Przyjaciel do przyjaciela:
– Słuchaj, wyczytałem, że jest taka choroba, którą można leczyć koniakiem.
– Tak? A gdzie można się nią zarazić?

●

Lekarz do pacjenta:
– Ile pan waży?
– Obecnie 116 kilogramów.
– A pana największa waga?
– 121 kilogramów.
– A najmniejsza?
– 3600 gramów.

●

Mąż wrócił do domu i ujrzał żonę na kolanach:
– Modlisz się? Przecież nie jesteś religijna.
– Postanowiłam się zmienić. Te upały przekonały mnie, że jednak w piekle nie dam sobie rady.

●

– Kochanie, ja nigdy nie byłam zła na ciebie.
– Przestań, zeszłego lata nie rozmawiałaś ze mną przez miesiąc.
– Ale ja nie byłam wtedy na ciebie zła. Chciałam cię po prostu zabić.

●

Mąż po przestudiowaniu wyciągu z karty bankowej mówi do żony:
– Pora przystopować te bezsensowne wydatki!
– Ależ kochanie, ja wcale nie wydaję więcej niż ty zarabiasz, tylko troszkę szybciej.

NASZE SMAKI

FOT. KGW Z KONASZÓWKI

Lato i wczesna jesień to czas obfitości warzyw i owoców, bogatych w bezcenne witaminy oraz składniki mineralne. Warto korzystać z tych dobrodziejstw i sięgać po świeżą porcję rodzimych produktów, jak też zrobić zapasy na zimniejsze dni. A przetworów z ogórków nigdy dość!

Ogórki w zalewie słodko-kwaśnej

Składniki
2 kg ogórków gruntowych
5 dużych ząbków czosnku
koper
gorczyca
cebula
liście laurowe i ziele angielskie

Składniki na zalewę
3 szklanki wody
1 szklanka octu 10%
1 szklanka cukru
1 łyżeczka ziela angielskiego
1 łyżeczka gorczycy
2 liście laurowe
szczypta pieprzu
2 duże cebule
2 płaskie łyżki soli
10-15 g mielonej kurkumy

Ogórki umyć. Ułożyć w słojach na baldachimach kopru, dodać ząbek czosnku, krążki cebuli, gorczycę, liść i ziele.
Zrobić zalewę: ugotować razem wszystkie jej składniki około 5 minut na małym ogniu. Natychmiast po zestawieniu z ognia zalać nią ogórki (należy zwrócić uwagę na fakt, iż kurkuma łatwo barwi, pozostawiając plamy, więc należy zachować ostrożność). Słoje zakręcić i pasteryzować ok. 5 minut.

Przepis Koła Gospodyń Wiejskich z Konaszówki

REKLAMA 0011568592

Zgodnie z art. 38 i art. 40 ust. 1 pkt 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (tj. Dz.U. z 2026 r. poz. 399) oraz §3 ust. 1, §6 ust. 1 i 7 i §13 Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 14 września 2004 roku w sprawie sposobu i trybu przeprowadzania przetargów oraz rokowań na zbycie nieruchomości (Dz.U. z 2021 roku, poz. 2213)

STAROSTA WĄGROWIECKI

informuje,

iż w dniu 21.08.2026 r. na tablicy ogłoszeń w siedzibie Starostwa Powiatowego w Wągrowcu, na okres 2 miesięcy zostało wywieszone ogłoszenie o przetargu ustnym nieograniczonym na sprzedaż nieruchomości Skarbu Państwa, położonej w Wągrowcu, oznaczonej nr działki 2135/2 o pow. 0,6768 ha, zapisanej w księdze wieczystej KW numer PO1B/00025704/6. Ogłoszenie o przetargu zamieszczono również w Biuletynie Informacji Publicznej Starostwa Powiatowego w Wągrowcu. Cena wywoławcza została ustalona na kwotę 786.313, 00 zł (netto). Przetarg odbędzie się dnia 21.10.2026 r. o godzinie 10.00 w sali nr 110 w siedzibie Starostwa Powiatowego w Wągrowcu, przy ulicy Kościuszki 15. Warunkiem uczestnictwa w przetargu jest wpłata wadium w wysokości 78.683 zł. Informacji w sprawie przetargu udziela: Kierownik Wydziału Gospodarki Nieruchomościami Starostwa Powiatowego w Wągrowcu, ul. Kościuszki 15, pokój nr 6 (telefon: 67 26 80 545), nieruchomosci@wagrowiec.pl.

0011560185

eprasa.pl 9381f2cf8a

DROBNE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

MIESZKANIE.LOKAL.GARAŻ. DZIAŁKĘ tylko od właściciela kupię. 510 061 820

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

Motoryzacja

OSOBOWE KUPIĘ

500-692-371 Kupię każdy samochód

CIĘŻAROWE, DOSTAWCZE

PEUGEOT Bokser 2200 cm3, 2007 r., przebieg 300.000 km, 10.000 zł. Tel. 602-718-514, 12/655-85-47.

Zdrowie

STOMATOLOGIA

Akryle, protezy, nylony, szkielety, mosty. Boh. Września 1, 12/645-93-33.

ZABIEGI

BUSKO-ZDRÓJ, Pensjonat Sanato Pobyty lecznicze i wypoczynkowe w promocyjnych cenach. Zadzwoń już dziś: 41-378-19-48 lub 696 -958- 319 www.santo.com.pl

Usługi

AGD RTV FOTO

! ANTENY ! RTV dom. 575-412-346.

INSTALACYJNE

!!!500-003-103 HYDRAULIK

!!!HYDRAULIK 500-003-103 AWARIE

HYDRAULICY AWARIE 730-066-539

Turystyka

Beskidy, turnus 7dniowy od 1250zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

ŁEBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

Matrymonialne

KAWALER lat 52, rencista, majętny, pozna pannę w wieku od 22 do 52 lat stanu wolnego, cel matrymonialny. Adam z Oświęcimia, 730-244-629.

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Komunikaty

UWAGA ! Każdy kto widział włamania do mojego domu w latach 1995 - 2010 przy ulicy Smyków 43 w Bochni, lub zna włamywaczy, albo posiada jakiekolwiek informacje na ich temat ma obowiązek zgłoszenia przestępstwa POLICJI.

Praca

ZATRUDNIĘ

BRUKARZ_OPERATOR. Tel. 669025229

W gospodarstwie mlecznym, z doświad.- zamieszkanie, 517-433-784

0011570294

„A koniec jest początkiem i nową nadzieją...”

ś†p

Krystyna Krzystyniak -Wałkowińska

Najdroższa Mama, Babcia i Prababcia

Przeżywszy lat 81, odeszła dnia 17 sierpnia 2026 roku.

Ceremonia pogrzebowa rozpocznie się we wtorek, dnia 25 sierpnia 2026 roku o godzinie 12.30 od bramy Cmentarza Rakowickiego od ul. Rakowickiej 26a (przy ZP Karawan),

o czym zawiadamia pogrążona w smutku
Rodzina

Prosimy o nieskładanie kondolencji.

0011571084

ŚP

Renata Maria Pomian Leszczyńska

Art. Konserwator Dzieł Sztuki

Najukochańsza Jedyna Siostra
Opatrzona św. Sakramentami,
zasnęła w Panu w dniu Matki Boskiej Zielnej

Msza Św. Żałobna przy Zmarłej
odprawiona zostanie we wtorek
dnia 25 sierpnia 2026 roku o godzinie 11:40
w kaplicy na Cmentarzu Rakowickim,

o czym zawiadamia
pogrążona w nieutulonym żalu

Siostra Bożena wraz z Najbliższymi

0011571551

Z głębokim smutkiem zawiadamiamy,
że w dniu 10 sierpnia 2026 r. odszedł
nasz ukochany Mąż, Ojciec i Dziadek

Andrzej Starek

profesor dr hab. Collegium Medicum UJ

Uroczyste pożegnanie odbędzie się
w kolegiacie św. Anny
w dniu 25 sierpnia 2026 roku o godzinie 11.00,
poprzedzone modlitwą różańcową o 10.30.

Po mszy żałobnej nastąpi odprowadzenie
do miejsca wiecznego spoczynku
na Cmentarzu Rakowickim o 13.00.

REKLAMA 0011431775

INFORMATOR MEDYCZNY
Jeżeli chcecie Państwo umieścić ogłoszenie:
Zadzwońcie: 12 688-84-40
Wysyłajcie maile:
reklama.krakow@polskapress.pl

REKLAMA 0011431595

COR-MED
www.cor-med.com
CENTRUM CHORÓB SERCA
PEŁNA DIAGNOSTYKA
KONSULTACJE ORDYNATORÓW, PROFESORÓW I DOCENTÓW
◆ Echo serca i naczyń (Doppler kolor)
◆ EKG ◆ EKG wysiłkowe ◆ Holter ◆ Holter ciśnieniowy
Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 118
Rejestracja tel. (12.00–17.00)
012 636 44 22

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.

Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.
Tel. kontaktowy 603 920 399

0011560127

EPITAFIUM ®
Kompleksowa Obsługa Pogrzebów
DYŻUR CAŁODOBOWY
12 650 97 10
Cmentarz RAKOWICE ul. Rakowicka 31a tel. 12 411 67 58
Cmentarz BATOWICE ul. Reduta 3c tel. 12 452 31 10
ul. Bochnaka 7 tel. 12 650 97 10
ul. Prądnicka 41 tel. 12 634 38 53
www.epitafium.krakow.pl

REKLAMA 0011560191

KARAWAN GRUPA FIRM POGRZEBOWYCH
TRADYCJE OD 1981 ROKU
CAŁĄ DOBĘ
12 411 11 11
12 658 21 11
www.karawan.pl
również w Niedziele i Święta
Kompleksowe Usługi Pogrzebowe

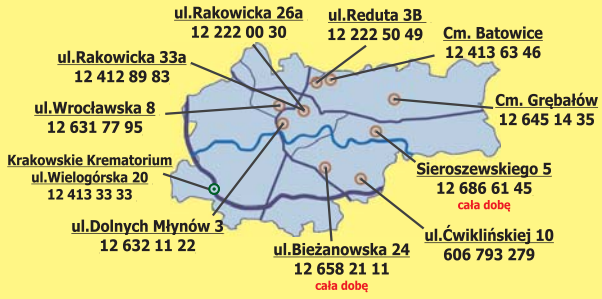

REKLAMA 0011560190

Lilia
zakład pogrzebowy

- kompleksowa organizacja uroczystości pogrzebowych
- rozliczenie bezgotówkowe
- całodobowy transport zmarłych
- szeroki wybór trumien i urn
- kwiaty, tabliczki, klepsydry, nekrologi
- kremacje

KRAKÓW, ul. Św. Łazarza 21, tel. 12 421 24 80
KRAKÓW, ul. Bronowicka 19, tel. 12 637 00 07
KRAKÓW, ul. Grota Roweckiego 7G, tel. 507 111 121
CMENTARZ BATOWICE, ul. Powstańców 20, tel. 507 125 130
CMENTARZ RAKOWICE, ul. Rakowicka 39, tel. 507 111 456
www.liliakrakow.pl
DYŻUR CAŁODOBOWY 507 111 211

eprasa.pl 9381f2cf8a

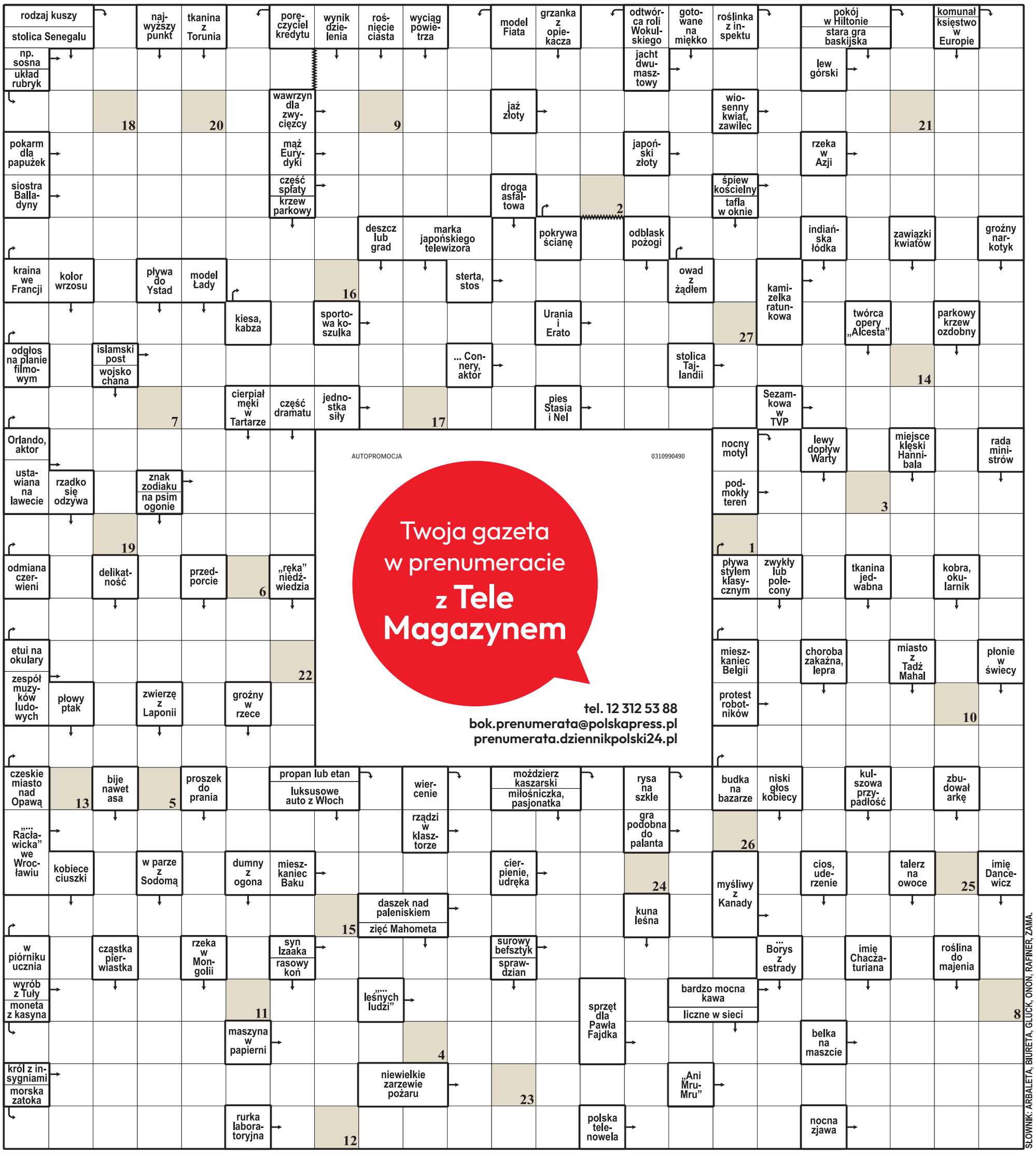

SŁOWNIK: ARBALETA, BIURETA, GLUCK, ONON, RAFINER, ZAMA.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 27 utworzą rozwiązanie: myśl Jana Grossa.

ROZWIĄZANIE: ŻYCIE TO NAJWIĘKSZY BAL MASKOWY.

eprasa.pl 9381f2cf8a

EKSTRAKLASA PIŁKARSKA

Przywieźć ze Szczecina pierwsze wyjazdowe punkty

To będzie wielkie piłkarskie święto pod Wałami Chrobrego. Faworytem jest Pogoń Szczecin, ale w Krakowie dość mają już meczów wyjazdowych, w których zespół nie zdobywa nawet punktu. Cel „Białej Gwiazdy" to zmienić ten trend

Bartosz Karcz

Po porażce w Zabrzu z Górnikiem przed Wisłą Kraków kolejny bardzo trudny wyjazd. W niedzielę o godz. 20.15 „Biała Gwiazda" zagra w Szczecinie z Pogonią. I będzie chciała wreszcie w tym sezonie nie wracać do domu z pustymi rękoma.

Wisła po powrocie do ekstraklasy gra w kratkę. Punktuje regularnie u siebie i regularnie traci punkty na wyjazdach. Oczywiście na razie za nami są raptem cztery spotkania, więc wskazywanie, że to stała tendencja, jest przedwczesne, ale tak to na ten temat wygląda. Druga strona medalu jest taka, że we wszystkich tych spotkaniach wynik śmiało mógł pójść w całkiem inną stronę. Zarówno w Gliwicach z Piastem, jak i w Zabrzu z Górnikiem z gry wiślacy śmiało mogli pokusić się o przynajmniej punkt, bo to absolutnie nie były jednostronne mecze. Z drugiej strony nie musieli wygrywać z GKS-em Katowice i Wisłą Płock, bo w tych z kolei spotkaniach swoje okazje przy ul. Reymonta mieli goście. W każdy razie z tendencją wyjazdowych porażek wiślacy będą chcieli zerwać już w najbliższą niedzielę w Szczecinie.

Zadanie, jakie staje przed drużyną Mariusza Jopa ,nie będzie jednak łatwe. Pogoń to mocny zespół. Szczecinianie mają o jeden mecz rozegrany od Wisły mniej, gdyż ich spotkanie z ostatniej kolejki z Jagiellonią Białystok zostało przełożone na inny termin z racji gry Białostoczan w europejskich pucharach. Punktów „Portowcy" mają jednak tyle samo co Wisła, czyli sześć. Złożyły się na to wyjazdowe zwycięstwo z Cracovią oraz domowe z Motorem Lublin. I tylko Legia znalazła sposób na Szczecinian, ogrywając ich na Stadionie im. Floriana Krygiera po golu strzelonym przez byłego zawodnika Wisły Zorana Arsenicia w samej końcówce.

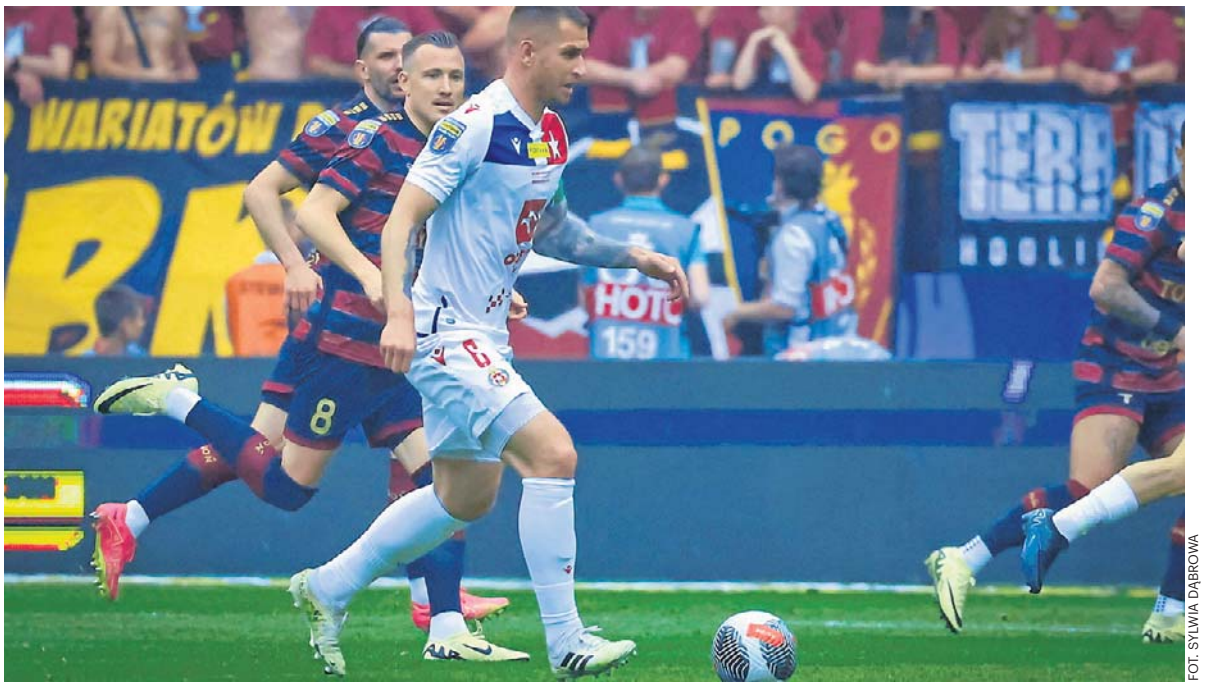
FOT. SYLWIA DĄBROWA

Fragment ostatniego oficjalnego meczu Pogoni z Wisłą. Finał Pucharu Polski z 2 maja 2024 roku

Faworytem niedzielnego meczu będzie jednak oczywiście Pogoń. Zespół mocno ograny w ekstraklasie, doświadczony i mający mocny, wyrównany skład. Wisłę czeka zatem bardzo trudne zadanie. Czy trener Mariusz Jop zdecyduje się na zmiany w wyjściowym składzie? Szkoleniowca „Białej Gwiazdy" czeka twardy orzech do zgryzienia. Bo z jednej strony Wisła rzeczywiście przegrała w ostatniej kolejce z Górnikiem, ale z drugiej na stadionie wicemistrza Polski miała momentami naprawdę dobre momenty i dużą przewagę. W tygodniu po meczu w Zabrzu wiele mówiło się o zmianach, że te w tej konfrontacji były robione nieco za późno, a nawet wcale, bo Mariusz Jop skorzystał tylko z czterech takich ruchów, choć w kadrze meczowej na to spotkanie było 21 zawodników.

Teraz sytuacja kadrowa może być jeszcze lepsza, bo duże postępy w rehabilitacji po urazach czynią zawodnicy, którzy mieli w ostatnim czasie problemy zdrowotne. Przykładowo Marc Carbo mówił nam w Zabrzu po meczu z Górnikiem, że jego uraz to tak naprawdę nic poważnego i za moment będzie do gry.

Wisła z Pogonią grała nie tak dawno, bo w październiku 2025 roku. Był to mecz towarzyski w Szczecinie, który zakończył się remisem 3:3. Dla większości wiślaków nie będzie to zatem wizyta na stadionie, którego nie znają. Ostatni oficjalny mecz obu drużyn wspominany jest natomiast z wielkim sentymentem przede wszystkim w Krakowie. Mowa bowiem o finale Pucharu Polski z 2024 roku, który Wisła na Stadionie Narodowym w Warszawie wygrała 2:1 po dogrywce i zdobyła to trofeum. Zrobiła to wtedy jako I-ligowiec. Przez te dwa lata trochę w obu klubach się pozmieniało, ale niedzielne spotkanie i tak zapowiada się niezwykle interesująco.

Mecz Pogoni z Wisłą będzie też wielkim świętem na trybunach. Już podczas wspomnianego finału Pucharu Polski stosunki kibiców obu klubów były mocno neutralne, a od tamtej pory stały się wręcz przyjacielskie. Do Szczecina na mecz z Pogonią wybiera się bardzo liczna delegacja kibiców Wisły. Będzie zatem na pewno głośno, będzie gorący doping dla obu zespołów, a sportowo wszystko rozstrzygnie się na zielonej murawie. ©℗

I LIGA PIŁKARSKA

Cel małopolskich I-ligowców - nie wpaść w spiralę niepowodzeń

Bartosz Karcz

Nie poszło kompletnie w ostatniej kolejce I ligi małopolskiemu duetowi – Bruk-Betowi Termalice Nieciecza oraz Puszczy Niepołomice. Najbliższa seria gier będzie okazją do poprawy nastrojów.

W poprzedniej kolejce Bruk-Bet i Puszcza miały trudne wyjazdy, bo do drużyn aspirujących do awansu do ekstraklasy. I nie udało się z tych wyjazdów przywieźć nawet jednego punktu. O ile jeszcze „Słonie" trochę powalczyły w Łodzi z ŁKS-em i przegrały minimalnie 1:2, o tyle po „Żubrach" w Gdyni nie było co zbierać. Pół godziny meczu, trzy braki dla Arki Gdynia i było pozamiatane. O tych meczach w Nieciecz i Niepołomicach powinni jak najszybciej zapomnieć.

W najbliższej serii gier trudniejsze zadanie, przynajmniej na papierze, czeka Bruk-Bet. W sobotę o godz. 15.30 „Słonie" podejmą kolejnego kandydata do awansu, czyli Polonię Warszawa. Z „Czarnymi Koszulami" jest jednak trochę tak, jak z zespołem Marcina Brosza. Dwa zwycięstwa na początek, a później już tak różowo nie było, bo Warszawianie zanotowali ostatnio remis i porażkę. Można zatem śmiało zaryzykować tezę, że będzie to starcie dwóch zespołów, które będą chciały odkuć się za ostatnie niepowodzenia. Kto jest faworytem tego meczu? Mimo wszystko stawiamy na „Słonie". Grają u siebie, czas staną mocniej na nogach i dopisać do dorobku wreszcie komplet punktów!

Rywala z niego innej półki będzie miała w niedzielę o godz. 17 Puszcza. Do Niepołomic przyjedzie bowiem beniaminek I ligi, czyli Unia

FOT. MKS PUSZCZA NIEPOŁOMICE

Puszcza Niepołomice, żeby pokonać Unię Skierniewice, musi na pewno zagrać o wiele lepiej niż w bardzo słabym meczu w Gdyni

Skierniewice. I będzie to dla drużyny trenera Tomasza Tułacza znakomita okazja, żeby zmazać plamę z Gdyni. W tym przypadku również można mówić o podobieństwie dwóch zespołów, bo oba mają na koncie w tym sezonie trzy porażki i jedno zwycięstwo. Nie można jednak Unii lekceważyć w najmniejszym stopniu. Ona bowiem tę samą Arkę, od której Puszcza dostała tak srogi łomot, ograła na swoim terenie 2:0 i nie było w tym zwycięstwie wówczas cienia przypadku. Dlatego Niepołomiczanie muszą przystąpić do tego meczu mocno skoncentrowani, a najlepiej byłoby gdyby wrócili do takiej gry, jaką zaprezentowali w niedawnym spotkaniu - również domowym - z Odrą Opole. Bez względu na problemy, to Puszcza będzie faworytem tego meczu i każdy inny wynik niż jej wygrana, będzie niespodzianką. ©℗

eprasa.pl 9381f2cf8a

SPORT

• **Tunezyjczyk Sayfallah Ltaief** został piłkarzem Cracovii.
• **Grek Efthymios Koulouris** został piłkarzem Wieczystej Kraków

EKSTRAKLASA PIŁKARSKA

Czas na derby Krakowa. Pierwsze takie: „Pasy" kontra Wieczysta

Jacek Żukowski

Mimo że Cracoviua ma 120 lat, a Wieczysta 84, te zespoły nigdy nie grały ze sobą o punkty! Ten pierwszy raz przypadnie na piątek na godz. 20.30.

FOT. TERAZPASY.PL

Bartosz Grzelak (z lewej) i Kazimierz Moskal siedli przy jednym stole na konferencji przed derbami

Co ciekawe w sezonie 2023/2024 Wieczysta grała z Cracovią, ale z jej rezerwą na poziomie III ligi.

Trener gości Kazimierz Moskal grał już derby z „Pasami" jako trener Wisły, bilans ma remisowy: 0:0 w 2007 r. 2:1 i 1:2 w 2015 r. Z kolei dla trenera Bartosza Grzelaka to nowość w Polsce.

- Tamte derby znaczą trochę więcej – mówi Kazimierz Moskal. - Dla Wieczystej są to w ogóle pierwsze derby w ekstraklasie i odbiór jest inny. Emocje są.

Od lat w derbach gra mało Polaków, a już Małopolan w ogóle. Choć szansę na występ ma rodowity Krakowianin Kamil Pestka.

- W takim kierunku zmierza świat – mówi Moskal. – Jest taki, a nie inny układ, inne czynniki grają rolę. Naprawdę łatwiej zakontraktować zawodnika zagranicznego niż polskiego. Nie chciałbym głębiej wchodzić w przepis o młodzieżowcu. Wolałbym mieć więcej Polaków w składzie, ale trzeba pracować z tymi, których się ma. Czasem nie jest to łatwe, mając ludzi z wielu krajów.

Dla trenera Bartosza Grzelaka to będą też pierwsze derby w Polsce.

- Nigdy nie widziałem na żywo derbów Krakowa – mówi Bartosz Grzelak. – Może się zdarzyło, że w telewizji. Derby to jest rywalizacja w mieście, nasi kibice chcą czuć dumę z naszego klubu.

Grzelak z kolei zna smak derbów Sztokholmu i Budapesztu. - W Sztokholmie i Budapeszcie to są bardzo duże mecze – mówi Grzelak. – W Sztokholmie są trzy duże kluby, każdy mecz między nimi jest specjalny. To co ważne, to musimy utrzymać agresywność i zimną krew.

Oba zespoły wygrały w ostatniej kolejce. Wieczysta ograła Piasta. - Lepiej grać po zwycięstwie – mówi Moskal. – Lepiej się wchodzi do szatni w kolejnym tygodniu. Gdyby wynik był inny musielibyśmy się zmobilizować bardziej. Musimy od pierwszej kolejki gromadzić punkty pomimo różnych opinii, bo jesteśmy beniaminkiem.

Można ze śmiechem na ustach sparafrazować opinię trenera Czesława Michniewicza, że 2:0 to niebezpieczny wynik. Bo Wieczysta prowadziła ostatnio 4:0 w końcówce meczu i o mało co nie skończyło się katastrofą – było 4:3.

- Po meczu można powiedzieć, że można było zagrać inaczej, ja też miałem pretensje do arbitrów, ale to zostawiam na boku. Cieszę się, jak są emocje, bo kibice wtedy pamiętają te mecze – opowiada szkoleniowiec Wieczystej. – Ale oczywiście wolałbym sobie teraz oszczędzić tych emocji. Nie do zaakceptowania z mojej strony jest to, że jak się ma 4:0 to nie można doprowadzać do takiej sytuacji. Zawsze jest problem pierwszej bramki – nie chodzi o to, że gramy na zero z tyłu, tylko aby nie dać przeciwnikowi poczuć, że jest w stanie nam zagrozić. A pierwsza stracona bramka potrafiła narobić bałaganu. Przez pierwsze minuty po meczu byłem wkurzony, ale to nie wyklucza faktu, że z pierwszej wygranej w ekstraklasie cieszymy się.

„Pasy" też wygrały, pokonując Raków Częstochowa 2:1. - Wygrana mentalnie nam pomogła, odwróciliśmy losy meczu – mówi Grzelak. - Zawodnicy czują, że mamy możliwości. Balans między wiarą w siebie, a pokorą. Zagraliśmy dobry mecz z Lechem i przed kolejnym, z Pogonią myśleliśmy, że będzie OK i nie było OK. Trzeba sobie przypomnieć, jak wygraliśmy mecz z Rakowem - sercem.

A co Moskal sądzi o Cracovii? – To zespół, który ma dobre warunki fizyczne, nie wiem, czy nie jest to najwyższy zespół w ekstraklasie, ale też mający zawodników dobrze wyszkolonych technicznie. Nie zawsze gra się przekłada na wynik. Trochę szczęścia brakowało.

Opinia Grzelaka o Wieczystej?

- To nie jest beniaminek, który niepewnie wchodzi do ligi – mówi trener Cracovii. – Tylko jest to drużyna zawodnikami, którzy mają doświadczenie i jakość, nie tylko napastnicy, cały zespół jest dobry. Musimy grać na najwyższym poziomie, by wygrać mecz.

„Pasy" mają nowego napastnika – Mohameda Berte. Na pewno jednak nie zagra w derbach.

- Dopiero był jeden trening w którym brał udział – mówi trener Cracovii. – Nie jest to łatwa sytuacja dla niego, musi poznać nowych kolegów. Bartę oglądaliśmy, wierzę, że może nam pomóc. Pierwszy z nim kontakt jest taki, że to grzeczny, fajny chłopak, ambitny. Może grać jako dziewiątka, cofnięty napastnik i na skrzydle też. Daje nam to wybór, to mi się podoba.

Jak się będzie rozstrzygał ten mecz, czy w kwestiach umiejętności, czy decydować będą przede wszystkim kwestie mentalne?

- Do każdego meczu trzeba podchodzić tak samo, taktyka, fizyczność będzie miała znaczenie, ale trzeba mieć indywidualności, które robią różnicę – ocenia szkoleniowiec gości w piątkowym meczu.

Czy ważniejsze będzie granie „swojej" piłki, czy analiza przeciwnika?

- To, jaki mamy pomysł na grę z danym przeciwnikiem bierze się z tego, że analizujemy rywala, ma to kolosalne znaczenie – mówi doświadczony trener. - Można wszystko fajnie przygotować i wiedzieć, co ma się robić, ale przysłowiowa dyspozycja dnia sprawia, że coś nie funkcjonuje. Liczy się to, co na murawie, a nie w szatni. Mamy wnioski odnośnie gry Cracovii, ale to naturalne, że nie będę się nad tym rozwodził. A czy słuszne, to okaże się w piątek wieczorem.

A jakie zdanie na ten temat ma trener Cracovii?

- W 80 procentach musimy wykonywać to, co trenujemy, stosować nasz model gry – mówi Grzelak. - A 20 procent zostawiam na to, jak grać przeciwko danemu rywalowi. Teraz mamy krótki mikrocykl bo graliśmy w niedzielę, musimy się skupić na rozwoju naszej gry, taka jest baza.

Wiadomo, że ważnym zawodnikiem Cracovii był jeszcze jesienią Mikkel Maigaard. - Nie rozmawiałem z Mikkelem – mówi szkoleniowiec Wieczystej. – Przygotowujemy się do tego meczu jak do każdego innego. Mam na tyle własną wizję tego, co Cracovia prezentuje, że nie rozmawiałem.

- Wielu jesiennych meczów Cracovii nie oglądałem – mówi Grzelak. – Patrząc na Wieczystą widać, że to dobry, pracowity zawodnik.

Gotowy do gry jest już nowy nabytek Wieczystej Bartosz Białek. Podobnie w Cracovii Wiktor Bogacz. - Jest gotowy, jest na każdym treningu – oszczędnie mówi o tym Bogacz.

Jeśli chodzi o indywidualności, to błysnął ostatnio Tobias Christensen – autor hat-tricka.

- Na razie jeszcze nie można podsumowywać transferów, tylko trzy mecze rozegraliśmy – mówi Moskal. - To taki typ piłkarza, który bardzo lubię. Chce mieć piłkę przy nodze, nie boi się dryblingu, potrafi uderzyć. Powiedziałem mu, że niezależnie od tego, że zdobył trzy bramki, zagrał dobry mecz.

W derbach Trójmiasta grał już Dominik Piła, obrońca Cracovii. Było to w I lidze.

- Było 0:1 na wyjeździe, a u siebie wygraliśmy – wspomina. - Przypieczętowaliśmy wtedy awans. W takich meczach cechy wolicjonalne to jest klucz, to jest podstawa.

To będzie ważny mecz dla Maigaarda. Jakie emocje mu towarzyszą? - Grałem już przeciwko swojej drużynie, było to w Norwegii – mówi pomocnik Wieczystej. – Było to specyficzne, w Cracovii mam wielu przyjaciół, wielu ludzi znam.

Czy nie żałuje decyzji o transferze zimą? - Była to dla mnie najlepsza decyzja – mówi duński pomocnik. – Otrzymałem 2,5-letni kontrakt mogłem się rozwijać w ekscytującym projekcie, wtedy w I lidze, teraz już jesteśmy w ekstraklasie. Nie była to natychmiastowa decyzja, zajęło mi to trochę czasu. Ciężko mi było opuścić Cracovię, byłem w niej szczęśliwy.

Gdyby piłkarze mogli wziąć do swojej drużyny jednego zawodnika z obozu rywala, to na kogo by postawili? - Myślę, że na Otara Kakabadze, mojego przyjaciela z Gruzji – odpowiada Maigaard. – Jest silnym piłkarzem.

- Na pewno Wieczysta ma wielu jakościowych piłkarzy, Miki przydałby się nam z powrotem – mówi Piła. ©℗

eprasa.pl 9381f2cf8a